


Book of the ...

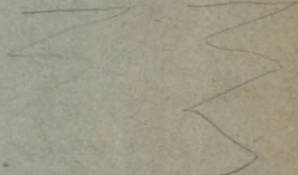
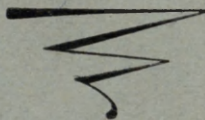


1912. GROMIENNY 1912

LEO BELMONT.

A gdy zawieszono 

 „WOLNE SŁOWO”.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
63-330 Warszawa, ul. Mary Świat 7  
Tel. 23-68-43

WARSZAWA.

Nakład Leo Belmonta, Marszałkowska 97A.

Listopad 1912.



LEO BELMONT.

A gdy zawieszono           

           „Wolne Słowo”.

T R E Ś Ć:

L. BELMONTA.

1. Co w kronikach żydowskich napisane będzie za 1000 lat o zwycięzcie wyborczem w Warszawie r. 1912.
2. **Komu powierzyć wolno mandat poselski.**
3. Warszawa w Udziałowej i inne.

J. HUZARSKIEGO.

1. W tyglu wyborczym.
2. Tragifarsa bałkańska.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-530 Warszawa, ul. Nowy Świat 73  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

Nakład L. Belmonta, Marszałkowska 97a.

Listopad 1912.

Cena kop. 50.



21.492

Druk Kaniewskiego i Waclawowicza, Zielna 20.

# Pożegnanie

przyjaciół = abonentów  
„Wolnego Słowa”.

---

.....  
Jak błyskawica oślepiła mnie wieść o  
skonfiskowaniu Nr. 176 (wyborczego) „Wol-  
nego Słowa“.

Dotąd nie mogę przejrzeć, jakie upa-  
trzone w nim przestępstwo.

A już nastąpił grom...

Wieść o zawieszeniu „Wolnego Słowa“  
na drzewie cenzury aż do wyroku sądo-  
wego.

Czy „Wolne Słowo“ zsinieje śmiercią  
na zawsze, czy jeszcze wskrzesnie kiedy-  
kolwiek — nikt tego nie wie...

Do gromu pretensji nie mam. Kwestja  
materjalnej i moralnej ruiny dla jednostki  
wobec „wyższych względów“ musi być  
dlań obojętną.

.....  
Tymczasem czynię, co mi jeszcze prawo  
zezwała, a obowiązek każe.

Przygotowany materiał wypuszczam w for-

mie książki, aby nie milczeć w tak ważnej chwili.

. . . . .  
Pięć lat dźwigam ciężkie drzewo mego sztandaru w najnieprzyjaźniejszych okolicznościach.

Dziś *muszę* je z rąk wypuścić.

Pozbawiony praw, jako adwokat, jako redaktor, jako wydawca, wątpiąc, czy znajdę człowieka, który zgodzi się udzielić mi koncesji i być odpowiedzialnym za prace nieostrożnego pisarza, nie mając środków na wydawanie stałe książek objętości 5 arkuszy, które prawo otacza względną opieką --

na teraz zegnám tych *stałych przyjaciół* „Wolnego Słowa“, którzy *bezpośrednim abonentem pomagali pismu żyć*.

Rzeszom łaskawych czytelników „Wolnego Słowa“ — nie mam nic do powiedzenia.

Ale przyjaciołom moim chciałbym rzec wiele.

Lecz nie jest chwila po temu...

Bije godzina 3-cia. Za godzinę zmuszony jestem jechać do Petersburga, gdyż adwokat - przyjaciel petersburski wzywa mnie radą telegraficzną, abym jutro rano wprost z dworca udał się do Senatu i broił się osobiście przed zatwierdzeniem wyroku Izby sądowej, który skazał mnie na



rok twierdzy i grozi wykreśleniem z listy adwokackiej za to, iż ująłem się za kolegami z prasy, oskarżonymi o przestępstwo prasowe...

Jadę—bez nadziei zwycięstwa.

Bowiem wiatr wieje chłodny od północy i strąca liście...

Człowiekowi, który ma za sobą jedną osądzoną sprawę, a przed sobą w perspektywie nową—wolno być przesądnym.

.....  
„Cokolwiek zajść ma, niech uderzy we mnie“.

Tymczasem ślę przyjaciołom „Wolnego Słowa“ serdeczny uścisk dłoni za mnóstwo gorących dowodów przyjaźni, jakie otrzymałem w listach w ciągu lat pięciu...

I tylko jedno słowo jeszcze:

Niech nie przypisują losu mego reakcji rządowej. Bowiem jest to największem z kłamstw, że reakcja rządowa jest matką reakcji społecznej.

Przeciwnie! jest ona ukochaną córą reakcji społecznej, która łoży na wychowanie tamtej wszystkie zasoby swojej bezmyślności, apatji, nędzy umysłowej i moralnej.

Reakcja rządowa utrudnia mówienie, ale społeczna głodzi pisarzy i odbiera im głos wolny...

Z POEZYJ NIEKRASOWA.

## Straszny rok.

(1870)

Straszny rok! Ten patos gazeciarzy  
I ta rzeź przekięta, i ta krew,  
Co się dymi z ludzkości ołtarzy...  
Duszę zmęczył mi ten mordów siew!

O miłości!—gdzie twych prac owoce?  
O rozumie!—gdzie twych trudów plon?  
Chciwa ucza gwałtów i przemocy  
I kartaczy górujący ton!

A ten rok gotuje i dla wnuka  
Nowych wojen, nowych sporów siew!  
Próżno duch wolności w świecie szuka,  
Świętych uczuć zamilkł tkliwy śpiew!

Gdzie nienawiść szaleł dusze spęta,  
Gdzie się mściwość wykapała w krwi,  
Jęczy ziemia, na wieki przeklęta!...  
Jedna tylko ty, poezjo święta,  
Córo niebios, jedna milczysz ty!

Ach! twój głos się zerwał zagłuszony!  
Twoich lic nie widzi niczyj wzrok...  
Giń, jak kwiat w pustyni zagubiony,  
Jako gwiazda, co upadła w mrok!

Precz, ach, precz! — fatalne to zwątpienie!  
Jakżem śmiał poezji przekląć cud?!  
Jeszcze-ć żyją serca, co natchnienie  
Czerpią z świętych jej, kastalskich wód...

Ale wtedy, kiedy się rodziły,  
Też na ziemi grom wojenny grzmiał—  
Ludy we krwi tak samo brodziły,  
Bagnet lśnił, huczało tysiąc dział...

I brat bratu gotował katusze,  
Krwia się spijał z czaszek, jako kruży,  
Kosa śmierci wydawała zgrzyt...

Więc wylękły się te tkliwe dusze,  
Jak ptaszyny okryły się w czas burzy,  
Wyczekując na ciepło i świt...



JERZY HUZARSKI.

## Tragifarsa bałkańska.

Publiczność, mimo postępy pacyfizmu rozmiłowana w wojnie, głodna jej szczegółów—domaga się od prasy ścisłych informacji wojennych, a przynajmniej pewnej orjentacji, wskazówek, które umożliwiłyby jej ocenę odbywających się wydarzeń, sąd o postępkach tej lub innej strony. Niestety, prasa ciemna jest, jak tabaka w rogu, i wie tyleż co i ogół, tyleż co nieboszczyk Sokrates, wie... iż nic nie wie. Prasa polska w szczególności. A przecież „Nowa Gazeta“, „Kurier Poranny“, „Dzień“ posiadają „korespondencje własne“ i telegramy z Podgoricy, Berany, Konstantynopola, Sofji, Białogrodu, Piszтины, Prevezzy i tylu innych miejscowości o dźwięcznych nazwach i strategicznem znaczeniu. Nadmiar korespondenci owi zajęli świetne posterunki obserwacyjne—ma się rozumieć w Udziałowej. Jednak nic nie wiedzą. I my wraz z nimi toniemy w otchłani ignorancyi.

To też niełatwo się zorjentować wśród wieści, fabrykowanych przez Tartarinów we własnej osobie. Gdyż Czarnogórze, Turcja, Bułgarja, Serbja, Grecja—to bądź co bądź południe, a kto nie zna wybujałej fantazyi południowców—niech przeczyta Daudetowskiego Tartarina, a zrozumie... Zrozumie, że wieść o olbrzymiem zwycięztwie

Czarnogórców nad Turkami lub Turków nad Czarnogórcami, znaczy poprostu, iż gdzieś Czarnogórzec zastrzelił Turka, lub Turek zakłuł kindżalem Czarnogórcę. Zrozumie, że dopóki wojska Słowian nie znajdują się w Konstantynopolu, lub tureckie w Sofji czy Białogrodzie—wieściom o świętych marszach, zwycięztwach i t. d. wierzyć w pełni nie można.

Ale historyczna lub polityczna strona wydarzeń obecnych tkwi nie w szczegółach, nie w losach poszczególnych bitew. Ona zawiera się w samym fakcie wybuchu wojny, w samym pożarze, który rozpalił się z tak błyskawiczną szybkością, w samym fakcie, że setki tysięcy ludzi wyrzynać się pójdą z takim zapałem... w cudzym interesie.

Wojna bałkańska jest bowiem dla mocarstw Europy widowiskiem teatralnem, wyaranżerowaniem i wyreżyserowaniem we wszystkich szczegółach. Miała kilku reżyserów, którzy wzajem dopełniali się, cieniowali szczegóły, poprawiali się wzajem. Kto byli ci reżyserowie—zgadnąć nie trudno. W pierwszym rządzie ci, którzy wpadliszy w afrykańskie gniazdo os, zwane Trypolisem, przekonali się, iż zbyt liczyli na swe słabe siły i, w porę przypomniawszy sobie, że są potomkami przebiegłego Machiavela, wymyślili tę szatańską dywersję, która dla nich już wydała znakomite owoce—w postaci dogodnego pokoju.

Dalej, ci, którzy od pół wieku są fermentem Europy, ci, którzy czują, że zaciśnięta się dokoła nich żelazna obręcz ogólnej wrogości, więc nie cofają się przed ni-

czem, by obręczową rozluźnić, by zaabsorbować siły i uwagę antagonistów na dalekich polach Mandżurji, w stepach Mongolji, górach i dolinach bałkańskich.

I ci, którzy czują, że nadszedł czas wzmocnienia prestige'u mocarstwowego, tak zachwianego klęskami militarnymi, osławionego porażkami dyplomatycznymi, niustanną wojną wewnętrzną

Dla owych potrzebnem było, by Turcy i Słowianie bałkańscy rzucili się sobie wzajem do gardzieli, trzebili się wzajem i niszczyli, tratowali wzajem swe pola, niszczyli handel, wyczerpywali swe słabe siły.

Rzecz ożywista: powodów do nienawiści między Słowianami a Turkami niebrak. Toć przez długie wieki Turcy z okrucieństwem sprawiali rządy nad Słowianami, zaszcypili w nich taki ogrom nienawiści, że setki lat przejdą, nim dawne dzieje będą zapomniane. Toć od lat czterdziestu dawni niewolnicy urągają mocy swych niedawnych panów, boleśnie drażnią ich dumę—już samym faktem niezawisłego istnienia.

Ale tego ognia nie starczyłoby do wzniesienia wielkiej pożogi wojennej, bo obie strony czuły swą słabość—państwową i finansową, bo przeszły twardą szkołę historyczną, w której nauczyli się cierpliwie czekać i głęboko ukrywać swe uczucia, pragnienia.

Lecz reżyserowie czuwali. Włochy i Rosja popychały Słowian i Albańczyków, Austria i Niemcy podsycaly płomień wśród Turków. Włochy: aby zawrzeć pokój; Rosja, aby swój *prestige* podnieść zwycięstwem pupilów bałkańskich, by ewentualnem zwy-

cięstwem Słowian podsyć blady płomyk panslawizmu, by znaleźć odwet za dyplomatyczną Cuszimę z przed lat trzech.

Austrja i Niemcy pamiętają, że na burzach, w których bezpośrednio nie brały udziału, korzystały zawsze najwięcej. Któż nie pamięta zarobków „uczciwego maklera“ pruskiego podczas cudzych zatargów, zdobyczy Austrji, osiągniętych bez przelewu kropli krwi w r. 1877-ym?

I oto powód, dla którego tępić się będą ludy bałkańskie. Reżyserowie, którzy rozdali role, pomyśleli już o tem, aby aktorom nie przypadły, broń Boże, w udziale żadne zyski—terytorjalne, czy inne. Bo od tego są oni! Aktorom zaś wystarczą guzy i blizny! A więc żadnych zmian terytorjalnych, żadnych zdobyczy dla którejkolwiek z wojujących stron! Tak postanowiły mocarstwa.

Widowisko teatralne, tak starannie wyreżyserowane, w dzisiejszych czasach niepodzielnego panowania *genre'u* lekkiego musiało nosić charakter farsy.

Komiczną farsą była postawa państewek bałkańskich, groźących, straszliwe wytrzeszczających oczy, pobrzękujących szablami, udających żywiołowe wybuchy, a jednocześnie przezornie oglądających się na reżysera — Europę, kiedy da znak do rozpoczęcia przedstawienia.

Komiczną farsą była interwencja dyplomatyczna mocarstw, te noty, które—jak karabinierzy w operetce Offenbacha—przybływały zawsze zbyt późno, kiedy antagoniści stali już wobec dokonanych faktów i nie mogli się cofnąć.



Komiczną farsą było wystąpienie królika czarnogórskiego, mającego pod swą władzą nie więcej ludzi, niż pięciu komisarzy policyjnych w Warszawie.

Ale krew leje się. Muzyka wojenna gra. Setki trupów, tysiące kalek zalegają pola bitew.

I to jedno nie jest farsą.

Sądzę, że ten pogląd na wojnę bałkańską zawiera wyczerpującą odpowiedź na pytanie, nad którym zazwyczaj biedzi się prasa polska wobec każdej wojny: po czyjej stronie powinny być nasze sympatje?

Oczywiście, zagadnienie to dla nas, obojętnych widzów zapasów świata, jest nawskroś akademickie, zaś „sympatja“ nasza nawskroś platoniczna. Chociaż „Kurjer Warszawski“ podczas wojny włosko-tureckiej z najpoważniejszą w świecie miną upewniał, że turkofilskie stanowisko prasy polskiej głęboko ubodło Włochów i wywołało wśród nich prąd antypolski, wobec czego „Kurjer Warszawski“ nawoływał do zmiany uczuć. Ale „Kurjer“ jest już po to „Kurjerem“, aby—jak mówią Francuzi—brać pęcherze za latarnie.

My, którzy złudzeń podobnych nie podzielamy, wiemy, że sympatje i antypatje prasy polskiej nie obchodzą absolutnie nikogo. Bo kiedy prasa francuska wyraża swe sympatje dla Słowian bałkańskich—to znaczy, że w ciągu dni kilku społeczeństwo francuskie zorganizuje oddział Czerwonego Krzyża, który w miarę sił i możliwości działać będzie wśród wojsk słowiańskich. Kiedy z kolei Piotr Loti i Kludjusz Farrère ogłoszą płomienny manifest na rzecz Pół-

księżycyca, część prasy wraz z nimi zaprotestuje przeciw nie-chrześcijańskiej różnicy w miłosierdziu, zażąda utworzenia oddziałów Czerwonego Krzyża, które działać będą wśród wojsk tureckich. Ale kiedy prasa polska wyraża te lub inne uczucia—to znaczy poprostu, że przez czas pewien potoki farby drukarskiej niestrudzenie lać się będą. Lecz nie będzie ani czynu, ani podobieństwa czynu.

Więc też nasze sympatje i antypatje mogą mieć znaczenie tylko nawewnątrz, jako pewien czynnik wychowawczy, jako propaganda wśród własnego społeczeństwa pewnych ideałów i koncepcji.

Podczas wojny obecnej w grę wchodzi koncepcja praw historycznych. Boć ziemie zajęte obecnie przez Turcję—te ziemie zagrabione przez nich przed wiekami, to dawne Byzancjum Sam Konstantynopol jest przecież dawną Stolicą Państwa Wschodniego, ogniskiem cywilizacji bizantyńskiej. Ba, nawet wielka świątynia mahometańska jest przecież arcydziełem architektury bizantyńskiej, świątynią św. Zofji, wzniesioną za rządów Justynjana.

Oczywiście oficjalne prawo międzynarodowe drwi z podobnych praw historycznych. Bo w prawie międzynarodowym dogmatem jest właśnie to, co prawo cywilne uznaje za bezprawie. Układ zawarty pod przymusem—oto alfa i omega prawa międzynarodowego. I z chwilą gdy ustaje ów przymus, gdy słabnie miecz, prawo to podtrzymujący, pryska ono jak bańka mydlana. Traktat frankfurcki jest póty obowiązującym, dopóki istnieje ważki miecz

germański, stojący na jego straży. Przystanie obowiązywać, gdy nowy Brennus gallski rzuci na szalę miecz cięższy.

I wobec tego „prawa“ chimera są prawa historyczne Niemców lub Francuzów do Alzacji czy Lotaryngji.

Natomiast liczyć się z niem musi sumienie społeczne. Ono z kolei drwi z „prawa“, które nabył zdobywca, przykładając zwyciężonemu miecz do gardła. Ono zawsze uzna prawo Francji do Alzacji i Lotaryngji, prawo Węgrów, Czechów i wszystkich wyzutych z praw narodów do swej ziemi.

Czy wynika ztąd jednak, że Grecy mają niezaprzeczone prawo do Konstantynopola, który ongi do nich należał? Przenigdy! Bowiem prawo historyczne posiada również przedawnienie i posiadać je musi, jeśli historia nie ma być wiecznym powrotem do dawno przebytych etapów. Tylko że o przedawnieniu tem decyduje nie ilość ubiegłych lat lub stuleci, lecz jedynie istotny stan rzeczy, zrodzony z warunków historycznych.

Alzacja, choć niewątpliwie ongi niemiecka, nie może być przyznana Niemcom na mocy praw historycznych, bo stosunkowo krótki okres panowania Francuzów uczynił mieszkańców jej Francuzami, dzięki pokojowym zdobyczom kultury romańskiej. I dziś, gdy są oni patriotami Francji, nonsensem byłoby uznawać za legalną władzę Niemiec na tej podstawie, że nim zabrała Alzację Francja, była ona ziemią niemiecką. Tu nastąpiło przedawnienie historyczne i władza Niemiec tylko na mieczu, to zna-

czy zlegalizowaniem bezprawiu opierać się może. A przecież upłynęło tu mniej czasu niż na Szląsku, który od wieków do Niemiec należał, a przecież jest polskim, przecież nie przedawniły się tam historyczne prawa polskie, bo ludność jest tam dziś polska. I, przeciwnie, za przedawnione uzna każdy prawa Słowian do ongi słowiańskiego terytorjum Berlina, bo dziś jest on niemiecki nie tylko oficjalnie, lecz z ducha i charakteru ludności.

Z tego punktu widzenia historyczne prawa Greków do Konstantynopola są żadne, bo dziś są to kraje tureckie, przez Turków zamieszkałe, tureckim duchem przejęte.

I dlatego jakieś sympatje antytureckie, oparte na podstawie praw historycznych wojujących stron do obecnego terytorjum tureckiego byłyby zgoła nielogiczne.

Jeśli nieuniknionem jest, byśmy wobec wojny obecnej stanęli na jakimś stanowisku, wyrażali jakieś — oczywiście najzupełniej platoniczne uczucia, możemy mieć tylko jedno.

To, które płynie z przekonania, że strony wojujące są aktorami w wyreżyserowanej przez Europę tragi-farsie, że pchane przez innych, dla ich dobra zubożają swe ubogie ziemie, niszczą słabe siły, przelewają krew.

Uczucie głębokiego współczucia, zarówno względem Słowian, jak i Turków, litość dla biednych pajaców, tragicomicznie podrygujących na sznurku, targanym przez niewidzialne ręce Europy.

---

LEO BELMONT.

## Co w kronikach żydowskich napisane będzie za lat 1000

O zwycięstwie wyborczem w Warszawie w październiku 1912 r. (a właściwie, w miesiącu Czeszwon r. 5672 od stworz. świata).

6. *Wehojo szejris Juakow bekejrew.* (i t. d.).

*Haftarah Bajlak.*

6. I będzie szczyłek Jakóba wpośród narodów liczych, jako rosa od Wiekuistego, jako obfite dżdże na zieleń, które nie czekają na człowieka, ani się oglądają na synów ludzkich.

7. I będzie szczyłek Jakóba między ludami wpośród narodów liczych, jako lew między zwierzętami leśnymi, jako lwiatko między stadami owiec, które gdy wpada, depte i rozszarpuje, a nie może nikt ocaleć.

IV. Ks. Mojżesza Numeri (Haftarah Bajlak).

### ROZDZIAŁ I.

1. I zapragnął Wiekuisty dać ludowi swemu zwycięstwo nad całą ziemią na lewo od Micraim aż do Wajksli \*).

2. Bo się już była rozmnożyła nieprawość antysemicka i różne wszeteczeństwa Sodomickie pomiędzy Edomem \*\*).

3. I nie wspomniał był Edom, że już

\*) Od Egiptu do Wisły. (Przyp. tłum.).

\*\*\*) Autor ma na myśli zapewne Polaków. (Przyp. tłum.).

go Pan ostrzegał piorunami zniszczenia i gromami gniewu i odjął mu rosę poranną, a drzewa jego powiędły.

4. A nie słuchał. I z antysemityzmu konserwatywnego zrobił drugi, postępowy, jako ciele, co wyszło z lędźwi matki krowy, a tak oboje żarły Izraela.

5. I Cierpliwyy rozgniewał się. I rzekł: wyzwolę mój lud, a dam mu ziemię (*hoorec*).

6. I pomieszał Pan rozumy Edoma. I ziemia była bezładem i zamętem (*Wehoorec hojeso souhu wehoszeho*). A wszyscy kłócili się i krzyczeli, jak zjeść Izraela.

7. Tylko Izrael był cichy i spokojny — i modlił się i szedł po legitymację wyborcze. I czekał dnia Pańskiego.

8. A był na onej ziemi mąż, z pokolenia Hamanowego, a *Rojmen Dmowski*, co się był kaził obrzydliwościami Sodomickimi z mężami Październikowemi (*Cheszwonnes*) w restauracyi Cubata.

9. I powiadał był: „Wybierzcie mnie znów za wielkorządcę tej ziemi, a postawię stopę na karku Izraela i cały Izrael ujdzie w ziemię. A wszystkie domy od rogatki Mokotowskiej aż do Muranowa będą znowu wasze. I będziecie jedli i pili, a opływać będziecie w dostatki. I zwyciężycie wszystkie mocarze ziemi na wschód i na zachód.“

10. Ale nie wierzyli mu wszyscy. Bo już pięć lat tak mówił i był wielkorządcą, a Izrael był się płodził, jak kazał Pan, i na Marszałkowskiej i na Kruczej, i przysuwał się do ziemi obiecanej w alejach Jerozolimskich, gdzie stał dom Hamana Jeleńskiego.

11. Ale byli tacy, co mówili: tak jest,

bo nie uszanowaliśmy jeszcze dość nauki Rojmenowej. Ale weźmijmy wóz wyborczy, długi na sześć sążni a szeroki na dwa-naście, i oblepmy go plakatami (*plakajtes*), ulejmy ze złota i srebra bałwana, co będzie na obraz i podobieństwo jego i wieźmy go przez miasto. A niech z tyłu idzie tysiąc „wyborszczykies“, a z przodu tysiąc „prystawes“ i niech krzykają:

12. Ma się ta cała ziemia pokłonić onemu.

13. I powiedział Dmowski: „Niech się stanie! A obiecuję wam, że w pięć minut urodzi się handel polski, a każdy producent polski będzie sprzedawał wszystko drogo, a każdy konsument polski będzie kupował wszystko tanio, i każdy wilk polski będzie syty, a każda owca polska będzie cała. I będzie raj na tej ziemi..“

14. A tak zrobili. I szły za wozem tysiące tysięcy. I kłaniali się. Tylko nie szli po „legitymacjes“.

15. A tylko Izrael nie pokłonił się cielcowi ze złota i srebra *na onym wozie*—i modlił się i siedł po „legitymacjes“. Bo wierzył w Pana.

16. I widział „Kurjer Warszawski“ i widział „Goniec“ i widział „Kurjer Poranny“, że źle jest, że nie ulęka się lew Judy wobec onego złotego bałwana, a jest wierny Panu.

17. Bo byli w onej ziemi mężowi święci, Jackan z pokolenia Lewi i Dawidson z pokolenia Benjaminowego, wnuk Dawidowy. I powiadali: „Nie bójcie się, a weźcie legitymacje. Wiekuisty przyrzekł zarazę na Moabitów, a grom na Ammonitów i pośmiewisko a zniszczenie na Edoma.

18. I radzili byli owi drudzy. (Bo pomieszał im Pan rozумы i kazał robić „partjes“). I rzekli: „Nie uląkł się lew Judy wozu święconego i „plakajtes“ zrobiły „plajtes“. A więc musimy zrobić koncentracjes.

19. I myśleli chytrze: Jak będzie nazywało się *Cohn* centracjes, to i żydowiny oslepione blaskiem imienia *Cohn* same przyjdą do nas.

20. Ale święci mężowie Jackan i Dawidson mówili: „Nie idźcie! Czy nie widzicie, że Pan pomieszał im rozумы, i działa za nas. A tak zrobią z dziesięciu partyi jedną partję, ale to będzie partja przemalowanych troszkę na biało Dmowszczykies, i partja mechesów, a partja chrześcian, co zrobili dobrą partję z naszymi żydówkami, ale to będzie zła partja, nie nasza.

21. „Bo powiedział Pan: poślę im jad, co ich będzie rozszczepiał, ale nie nauczy ich rozumu. A nie dam im nic mocnego z Izraela, nic z tego, co jest jako palma na Hebronie, a jako cedr na Nalewkach; a i to, co jest słabe, jak winograd „Nowej Gazety“ i pnie się koło ich drzewa—ich opuści. I porażeni będą!

22. „Nie dam im mocy rozdzielienia Izraela, żeby uszli cało, iż zbrzydźli sobie nasienie Pańskie, a z domu Jakóbowego zrobili „straszakies“...

23. A tak byli uczynili. Bo powiadali byli:

24. „A czegoż na onym wozie jeździ ów ulany ze złota i srebra, i żąda pokłonu od ludu Bożego? I czemu wzbrania kom-



promisu z każdym z pokolenia Benjaminskiego?!”

25. Ale sami pocichu myśleli: „Kompromis to kompromitacja“. I nie chcieli na listach „przywiny“ pisać żadnego imienia z pokolenia Judy, bo się byli bali — a pisali imiona mechesów.

26. Co było znakiem ostrzegawczym od Pana dla ludu Izraela.

27. I był mąż święty na onej ziemi, zwał się Sokołow. I pisał:

28. „Jakże to oni robią zebrania w dzień Sądu Pańskiego (*Jom Kipur*), w czas, kiedy Pan dał synom Lewi oręż żargonu, a synom Benjamina legitymacje, a synom Judy deklarację praw!”

29. I rozgniewali się owi. A nie widzieli, że prezes gminy nie mógł przyjść. Bo go Pan zatrzymał był w dzień swój w synagodze. Gdź dzień był święty.

30. I tak zepsuli cały interes. A nie wiedzieli, że rozumie to Józef. (*Wehejm lou jodejnu bi szema Jolsef*). \*)

31. I sami zrobili sobie Cień onego z wożu i powiadali: „temu kłaniajmy się, a wyzwoli nas“.

32. I odjął był Pan rozum ich setnikom, a mówili Olchowicz i Libicki na głos w Filharmonji: „Wyzwoli nas od wroga“.

33. A myśleli „lud święty“. I mniemali, że Pan zrobi tarninę z cedru Libańskiego i że pewnie asymilowana palma pochyli się im na prawo, chociaż wiatr iść będzie na lewo.

---

\*) Por. Genesis: XXVII 23. „Józef“ użyto tu w znaczeniu „Izrael“, a nie w specjalnem: Wascercug.

34. I szedł Cień do Filharmonji, którą był Pan zbudował za namiestnictwa skarbnika Rajchmana i w której dowodził w one dni Birnbaum i która przynosi pełny dochód muzykalny tylko w dni odwiedzin Sema, a w dni Edoma jest kinematograf—i ten Cień mówił:

35. „Uzacnijmy handel polski!“

36. A potem powiedział:

37. „Oni myślą tutaj tylko o tem: ile kosztuje łokieć ziemi“. (A myślał lud wybrany).

38. I był w onej ziemi naówczas jeden, najbezbożniejszy ze wszystkich ludzi, którego za odstępstwo Pan ukarał, że się ciągle śmiał, a serce mu pękało, Apikojres-Belmont, gorszy od Weiningera.

39. Który spiskował na zgubę Izraela we wszystkich miastach, bo powiadał: „cenzus oświatowy polski!“ (co znaczy: wierze przeciwny). I był wyklety. Bo nawet Edom nie mógł słuchać mów bezbożnego i bojkotował jego myśli. A jak pisał, to schodziła z góry wielka jasność i konfiskowała to, co on pisał. I za karę Pan odjął mu mowę, bo wiedział, że bezbożnego nikt słuchać nie może.

40. I ów siedział tylko w Filharmonji na krześle wykletem—i śmiał się.

41. Bo kiedy słuchał Cienia, to myślał po polsku:

42. „W domu powieszzonego nie mówi się o sznurku“.

43. I myślał jeszcze po żydowsku, bo to mu Pan Bóg zostawił od ósmego dnia po urodzeniu:

44. „Gdybyście i wy myśleli więcej o tem, ile kosztuje łokieć ziemi, to nie sprzedalibyście tyle domów na Marszałkowskiej i w pobliżu katedry Ś-go Jana i pan Kucharzewski miałby o jeden smutek mniej w swoich smutnych przechadzkach po swojej ziemi“.

45. Bo Cień zwał się Kucharzewski i kiedy trzeba było politykować, to się przechadzał po Warszawie \*) (Bowiem Pan odjął im rozumy).

46. I widział Apikojres, że się Edom pokłócił, że każdy, co rozbija jedność, będzie krzyczał na drugiego, że ów jedność rozbija — a będą wszyscy rozbijali jedność.

47. I będą robili jedność Izraela, gdyż Izrael uraził się i wedle Bozka na wozie i wedle Cienia.

48. I wiedział, że nawet asymilanci już nie pójdą za Cieniem, bo znał odciski Izraela. Iż są bolące.

49. A myślał: „Skoro asymilanci nie pójdą do urn — to niechaj i onym nacjonalistom powiedzą: nie idźcie. Gdyż jeżeli macie godność, to ona musi być u wszystkich *jednakowa*“.

50. Bo zamiary Pana były mu tajne. Jako że się Pan odwrócił odeń, gdyż i on się od Pana odwrócił.

51. Gdyż Pan zgotował był zarzę na Moabitów, iż kłaniali się cielcowi na wozie, i na Ammonitów, iż uwierzyli, że skoncentrowany cień ma twardość ku ustaniu się wśród wichrów nacjonalistycznych.

---

\*) Apostrofa do opowieści p. Kuch. o przechadze po Warszawie.

52. I stało się, że asymilantes rzekli: „Nie pójdziemy przeciw naszemu ludowi, bo nie może być różnicy między wywalczoną przez nas w Turcji księgą Szulhan-Aruch i wywalczoną przez nas we Francji Deklaracją praw. To, co nam dał tam rabi Caro, to nam obiecał tutaj jeden Cyrus Jankowski z „Nowej Gazety“.

53. I rzekł Kempner: Nie możemy nic ustąpić z naszej *judeologii*.

54. I wtórzył mu Wasercug w „Izraelicie“.

55. Bo przyrzekli byli prorocy Izraelowi, że *wszystkie narody ziemi będą równouprawnione, a Izrael będzie wtedy panował nad wszystkimi*.

56. Ale Kempner i Wasercug rozumieli tylko pół-proroctwa, bo reszta była odkryta przez Pana tylko Jackanowi i Dawidsonowi, którzy mówili:

57. „Równouprawnienie wedle proroków słodkie jest“.

58. Ale Kempner nie znał całej słodyczy owocu i rzekł:

59. „Nie walczmy oń. Nie jest jeszcze godzina spełnienia obietnicy Cyrusa Jankowskiego. Nie nastał czas zbioru za trudy, położone przez „Nową Gazetę“ w rewolucyi francuzkiej i za walki nasze dla deklaracyi praw, która dała nam równouprawnienie we Szklowie i w Berdyczowie i wszędzie—zupełne równouprawnienie, t. j. cenzus ekonomiczny dla bogatych właścicieli domów żydowskich.

60. I wtórzył mu Wasercug w „Izraelicie“.

61. Ale Jackan i Dawidson rzekli: „Co

on powiedział (Was er sug) — to nas nic nie obchodzi. A jak Kempner nie chce być *Kämpfer* (Szermierz), to on może nie walczyć“.

62. I nazwany jest Kempner odtąd — *Kempfnisz* (nie walczy).

63. I stało się, jako Pan chciał.

64. Za karę, iż Kucharzewski nie powiedział po słowie „równouprawienie“ — punkt.

65. Bo Pan spuścił był na oczy Edoma zasłonę i nie widzieli, że może być każde ograniczenie, tylko żadne nie potrzebuje być powiedziane.

(66. Bo słowo „równouprawienie“ — to jest *En-Sof*, a cenzus ekonomiczny — to jest Sefirot, a kto powiada: „rozszerzę okręg miasta“, jako rzekł Kucharzewski — wykłety jest, bowiem naruszył świętość graniczną *erewu* \*), aby ograniczyć prawa Izraela).

67. I stało się dnia onego, że zaryczał był lew od pokolenia Judy:

68. A i kiedyż synowie Jakubowi kłaniali się cielcowi na wozie? Nie jest-że obrzydliwością Panu?!

69. I cały Izrael krzyknął: Żywie Pan!

70. I otrąbiono po całym mieście:

71. A ów, co erew naruszyć chciał, by Edomitów ze wsi wprowadzić do samorządu, nie jest-że Markowem w białych rękawiczkach?

72. I lud odparł głosem wielkim: Antysemity!

\*) Drut, który „ogranicza“ miasto i umożliwia chasydom noszenie książek do nabożeństwa w roku w sobotę.



73. I ukazał się w gromach Jackan a w błyskawicach Dawidson i w piorunach Hindes i pytali: Azali nie nadszedł czas wyzwolin?

74. I odparły wszystkie ulice od Micraim a wszystkie domy od Wajksli:

75. Nie przejdzie Markow ani w czarnych, ani w białych rękawiczkach.

76. I rzekli im wodzowie: niechaj-że każdy weźmie w rękę oszczep legitymacyi, a w drugą listę żydowską i opasze się kartką wyborczą—a gdy będzie wielkie trąbienie, niech idzie i zwycięża.

77. I było trąbienie wielkiej trąby.

78. I szli synowie Moaba i synowie Ammona przeciw Izraelowi.

79. Ale Pan spuścił gęstą zasłonę, jako w Micraim we dni Faraona, gdy uchodził lud Święty (z łupami)

80. A tak miast na Izraela—szli przeciw sobie i wydrapywali sobie oczy kartkami wyborczemi (choć myśleli jedno i to samo).

81. A tak poległo czterdzieści tysięcy z jednej i czterdzieści tysięcy z drugiej strony.

82. Zaś asymilanci (że w ów dzień postanowili byli nie walczyć) zamknęli się i pościli:

83. Że zaś im Pan zabronił przeszkadzać Izraelowi zwycięzać!

84. Tylko niektórzy wychylali się z domu i szli w okręgi nieżydowskie, aby wesprzeć Ciebie, iżby nie przeszedł Baal na wozie.

85. Bo wszystko to był umysłił Pan dla zwyciężenia Edoma, iżby go ukarać za

wszystko, co pisali przeciw ludowi wybranemu w „Musze“.

86. A i za to, co bywało w „Gońcu“.

87. I w „Kurjerze Porannym“ i w „Warszawskiej“ gazecie.

88. I w „Dniu“ i w „Warszawskim“.

89. I w „Gazecie za dwa grosze“.

90. A walka trwała dni czterdzieście i nocy czterdzieście.

91. I na niebie pojawił się sam Pan i walczył wraz z Izraelem.

92. A nie doszedłszy do urn, bowiem nie mieli legitymacji, padło na polu dwadzieścia tysięcy Moabitów i trzydzieści tysięcy Ammonitów.

93. Trzynaście, co szli głosować za Baa-lem, ulekło się klątwy onego samego, iż był rzekł: „Zbrodniarze są, co kupują coś od żydów“, a byli w trosce i kłopotcie, gdzie kupić, gdyż wokół były tylko sklepy żydowskie, a sami mieli inszą robotę i musieli kupić, żeby sprzedać lub pożyczyć.

94. Zaś czternaście zestrachowało się, że Cień jest literatem a nie politykiem.

95. A tak 27000 cofnęło się, bo nie wiedziało, na czyj ołtarz złożyć ofiarę.

96. I wytłukł ich Pan kamieniami przy urnach wyborczych. I rozproszył. A reszta sama siebie wytłukła.

97. A Izrael walczył cały! Szedł we trzysta tysięcy. A za nim szedł hufiec aniołów. Siedemset tysięcy.

98. I we sto tysięcy złożyli kartki, jako jeden mąż.

99. I wybrani są Prywes i Manas Ryba i Dawidson (a resztę imion patrz w kro-

nikach królewskich) — same najdoskonalsze męże.

100. I rozesłano znak do całej ziemi na przód i tył od wód Wajksli. I wszędzie powstawały hufce Jakubowe. I były się czterdzieści sześć dni i czterdzieści sześć nocy. A pobici zostali wyznawcy obrzydliwości Baala Dmowskiego i Cienia w białych rękawiczkach, Dmowszczykies i Secesjonistes, co się wyklada: fałszywi sjonisci. I legło od góry Warszaweho do doliny Lodzer osiemdziesiąt miljonów z górą ludzi. A Izrael, choć wzrostem i liczbą mniejszy i nie miał miecza przywilejów, tylko procę legitymacji i strzały cenzusu handlowego, zwyciężał wszystkie. I w miesiącu Kislew wzięte były wszystkie miasta. A lud ubrał się w szaty odświętne i przyniósł ofiarę śniedną z mąki i ofiarą całopalną z baranka. I była na niebie jaskrawość wielka. A cały lud wykrzyknął:

W drogę królewską, w drogę prawdziwą pójdziemy (*Bederech hemeitech nailech*).

101. I Wiekuisty czterdziestego siódmego dnia odpoczął. Iż był dał zwycięstwo nasieniu Jakubowemu, jako rzeczono w Piśmie: Ziemię obiecaną posiędą.



## PIEŚŃ PANU

przedniejszego ze śpiewaków syna króla Dawida  
(Dawidsona).

### PSALM LVI \*)

1. Powstań chwało moja! a stań harfo i cytro moja! Grał będę Panu wdzięczność, a żal na bezrozumne.
2. Sprzeciwili się, jako kozły, Wspaniałomyślnemu, a jako barany, Sprawiedliwemu.

\*) Pomiedzy uczonymi badaczami istnieje spór co do epoki powstania tego psalmu. Jedni odnoszą go do 5672 r. t. j. do roku opisywanych zdarzeń i przypisują synowi Dawida (II). Inni, jak np. Radliński II odnoszą psalm ten do r. 6672 t. j. o tysiąc lat później, sądząc, że należy on do nieznanego z imienia poety, który myśli swoje włożył w usta legendowego bohatera Dawidsona, aby wyjaśnić, że nędza żydowskich miasteczek w Polsce w r. 6672 i zamknięcie bezprawnych w ghetto (pomimo *kwitnącego* stanu prasy żargonowej, liczącej 100 milionów abonentów) pochodzi stąd, że ów Dawidson w r. 5672 t. j. 1000 lat przedtem, nie został wybrany na posła z Warszawy. Jeszcze inni uczeni, jak np. Renan III. cały ten psalm uważają za pismo apokryficzne, dowodząc, iż zwycięstwo wyborcze żydów w Polsce XX stulecia wobec tysiącletniej kultury i mnóstwa organów i mężów politycznych, jest tylko fantazją ludową — wreszcie Morozow II misternie tłumaczy całą tę pieśń, jako opis zjawisk astronomicznych na Żodjaku.

3. Nie dał-żeś Panie burzy na Moaba a orkanu na Ammonitę a powodzi na Amalekitę?

4. Onego czasu wstrząsły się góry Warszaweho i deszcz ognisty spadł na Twoje wrogi. *Sela!*

5. I Dmowszyki pożarte są od wieloryba, a koncentranty od leoparda.

6. Osiemdziesiąt milionów nieobrzezańców leżało w polu, a lud twój tańczył przy urnach.

7. I szarańcza pożarła asymilantes. I wytraceni byli z całej ziemi. I grad pobił ich dobytek.

8. Święciliśmy dzień Pański. A „Hajnt“ stał na opoce. I „Frajnd“ na górze. I nad Hacfirą świecił ogień. A ziemia była ufundowana dla chwały Izraela.

9. Wywyższyłeś nas, Boże Pomsty! Spuściłeś nawałność wód morskich na „Gazetę Warszawską“ i usypałeś górę piasku nade „Dniem“.

10. „Kurjer Poranny“, jako chrząszcz bzykał. A jako słowik śpiewał nam „Goniec“. I pokruszyły się winne drzewa w ogrójeu „Kurjera Warszawskiego“. A „Mucha“ była zamilkła.

11. I nie było nikogo, co by sarkał przeciw ludowi Izraela. A ukorzył się Edom i czekał cudów od Pana.

12. I patrzył, co uczynią książęta Izraelskie a we wzdychaniu czekał. *Sela!*

13. O Panie Zastępów! otoś lwy z nich uczynił, a zestrachali się, jak synogarlice. Morze usunąłeś z przed nóg ich, a nie poszli. Dałeś im piorun, a rzucili go. I co

mogli stać się, jako namiot Twój ze złota i srebra, stali się, jako gnój ziemi.

14. Rzekli głupi w sercu swoim: Nie masz posła wśród Izraela. Popsowali się i obrzydłymi stali się w nieprawościach. Odstąpili mnie, pospołu stali się niepożytecznymi. Nie wybrali mnie! A tak pohańbieni są. I wzgardziłeś nimi, Panie. Bo nie uweselił się Izrael Twojem zwycięstwem na wieki, jeno na dzień jeden!

15. Nie przejrżeli, iż jako Cherubin jestem, jako podnózek Panu, a jak rosa niebieska dla ludu.

16. Ty wiesz, Panie Zastępów, że gdyby posłali mnie do Dumy, mową moją zaraziłbym nieprzyjaciół na posładkach, jako książęta filistyńskie. A uciekliby. Spuściłbym łuk twój na sługi Dagona, a utrapiłbym sługi Mamonowe. Rozerwałbym morze krzywd, a rozrzucił opokę ograniczeń. A wywiódłbyś przezemnie wody dla wszystkich ubogich Izraela ze skał i sypnąłbyś mannę na wszystkie żebrzące, a polałyby deszcz złota na bankiery.

17. I urosłoby ogromne drzewo figowe nad rzeką New a cień błogi padłby na górę Warszaweho i na dolinę Lodz i na tysiąc miast. A nie byłoby nikogo wśród Izraela, co nie dostałby słodkiej figi.

18. Ale ulękli się, jako żaby. A nie poznali znaku na pomazańcy Twym. „Zgwałcili poświęcenie twoje“. Poszarpali trzewia swoje. „Zepsowali ochędożenie Twoje“. Nie najedli się i nie napili zemstą Pana! Biada!...

JERZY HUZARSKI.

## ***20 tygłu wyborczym.***

### **1. Tu l'as voulu, Georges Dandin.**

Stało się... Powódź nacjonalizmu żydowskiego zatopiła nas doszczętnie. Kohorty nacjonalistyczne, karne, zorganizowane runęły do urn i zwyciężyły.

„Tego jeszcze nie było“ — twierdzą wszyscy oszołomieni wobec „niespodziewanego“ rezultatu wyborów. Niespodziewanego — gdyż zazwyczaj spodziewamy się najmniej tego, co jest najbardziej naturalne, co z żelazną konsekwencją wyłania się z życia, ba, z naszych własnych czynów.

Zwycięztwo nacjonalistów żydowskich narzucało się z żelazną konsekwencją, dyktowała je nieubłaganą logiką życia.

Miało ono czterech sprawców: endecję, koncentrację, postęp i asymilację. Wszem im wobec i każdemu z osobna należy się więc parę słów gorzkiej prawdy.

Najmniej, oczywiście, „dmowszczakom“, bowiem oni nie rozumieją słów, lecz tylko zoologiczny ochrypły krzyk, wycie, skowyt. Nacóż więc przemawiać do nich słowami? Tłumaczyć, że groźba zagłodzenia żydów, wyniszczenia ich była najlepszym cementem, spajającym masy żydowskie? Lecz co innego endecja, a co innego koncentracja, powołująca się na najszczytniejsze tradycje i hasła liberalnej Polski. Ta powinna zrozumieć, gdy powiemy jej: „*tu l'as voulu, Georges Dandin!*“

Wdzięczne zadanie leżało bowiem przed koncentracją. Przeciwwstawiwszy się zoologizmowi Dmowskiego, mogła ona być zorganizować przeciw niemu rozumniejszą część społeczeństwa polskiego, a z tą ostatnią solidarnie połączyć znaczną część ogółu żydowskiego. Pod wspólnym sztandarem *pol-skim* zjednoczyć większość polską i większość żydowską — to byłoby prawdziwym zwycięstwem chorągwi *polskiej*.

A na to trzeba było tak mało! Nie trzeba było schodzić z *polskiego* stanowiska patriotycznego, czysto polskiej platformy ideowej. Wystarczyło okazać żydom nieco serca. Dowieść, że przyjmuje się, jako towarzyszy pracy i boju tych żydów, którzy do polskości lgną, a dla ciemnych parjasów, bezprawnych, wynędzniałych, dla szerokich rzesz żydowskich, dla ich niedoli ma się gorące współczucie, szczerą chęć moralnego podniesienia ich, obdarowania światłem kultury polskiej.

Czy byłoby to stanowisko niepolskie? Innymi słowy: czy pojęcie *humanitaryzm i polskość* to antytezy? Czy złym Polakiem był Czacki, Butrymowicz, a w naszych czasach nieodżałowanej pamięci Eliza Orzeszkowa?

Ale „koncentracja“ posiadała swoistą koncepcję polskości. Koncepcję, zrodzoną niewątpliwie w promieniach natchnień Jeleńskiego, Dmowskiego i Kłopotowskiego, silnie zabarwioną kanibalizmem tych cnych mężów. Mówię „koncentracja“, a nie p. Kucharzewski. Ponieważ stanowisko tego ostatniego było najzupełniej poprawne, było-że się tak wyrażę—*biernie* poprawne. To

znaczy, że on mówił bardzo piękne i humanitarne frazesy. Lecz na tem koniec.. Bowiernie nie protestował słówkiem, gdy sztab jego siał wśród słuchaczy złe ziarno przez usta p. Libickiego, dopuścił, by sztab ów sporządził niebywale wymowną listę wyborców, na której nie znalazło się ani jedno nazwisko Polaka wyznania niechrześcijańskiego.

A to dowodziło, że koncentracja pragnie być „judenrein“, że chce być „en odeur de sainteté“ u asemitów i antysemitów, że obawia się podrażnić kanibalizm polski.

P. Kucharzewski takie postępowanie milczeniem swoim zaakceptował. Powinien więc był, a wraz z nim cała koncentracja wysnuć właściwe konsekwencje. Eliminując żydów, koncentracja tem samem wyrzec się była winna ich pomocy, przewidzieć ich niechęć, która wyrazi się w skupieniu pod sztandarem nacjonalizmu. Powinna była, gdyby posiadała nieco logiki. Ale jej zdawało się, że może być wilk syty i koza cała, że można zadowolnić antysemitów i nie odepchnąć masy żydowskiej. Szczytem wspaniałomyślności wydało się jej, że, usunąwszy żydów za nawias obywatelskości, łaskawie zezwoli im głosować na swoje listy.

I dlatego poniosła sromotną klęskę, i dlatego, gdy dziś znalazła się w położeniu wysoce poniżającym, zdana na łaskę i niełaskę nacjonalizmu żydowskiego, muszę stwierdzić ze smutkiem: „*tu t'as voulu, Georges Dandin!*“

## 2. Wrona pedecka.

Postęp polski nie od dziś przypomina wronę z bajki Lafontaine'a. Trzyma w dziobie—coprawda nie *ser*, lecz *ster*, i z sterem tym na wysokiej gałęzi usadowiony, czeka, aż podpływie nawa polska, kornie poprosi o przyczepienie do niej owego steru postępowego i tym sterem kierowana wypłynie na szerokie wody.

Lecz zamiast nawy pod drzewem pojawiają się raz po raz zdradzieckie lisy, które wyśpiewują hymny na cześć naszej wrony. A ona, oczarowana, za każdym razem upuszcza ów ster, zlatuje z gałęzi i mknie w towarzystwie lisa, którego bierze za... nawę polską.

Tak było w okresie igraszek neosłowiańskich, kiedy P. Z. P. wydelegowało swego członka do Pragi, tak było w dobie antysemityzmu postępowego, tak stało się też i dziś. Postęp nie wyzyskał chwili obecnej, ogólnego niezadowolenia z „dmow-szczyzny“ i pewnego wzmożenia hasel opozycyjnych, aby wysunąć własny program, własną ideologię, która—ze względu na swój humanitarny charakter—mogłaby pociągnąć obok licznych rzesz polskich liczne rzesze żydowskie, nie postawiła kandydatury ludzi, jak Świętochowski lub Krzywicki, których nazwiska starczą za program. Bo na to trzeba było działać, zaś treścią i istotą bytu naszego postępu urzędowego jest nie działalność, lecz paraliż.

Gdy więc pod drzewem stanął lis realizacyjno-secesyjny i wyśpiewał słodziutki hymn dla jej obywatelskości, nasza wro-

na postępową radośnie zakrakała i rzuciła się „bez zastrzeżeń” w lisie objęcia. Ze przy tej okazji zgubiła cały swój bagaż idejowy i programowy, to dla niej nie odgrywało roli.

Że kandydat był nie postępowcom, lecz zaledwie bladym cieniem postępowca, bowiem jest kandydatem nie szerokich rzesz demokratycznych, lecz finansjery, księży i kupiectwa—to dla niej drobiazg.

Ważnem jest jedynie to, by pozostać w stanie bezwładu paralityka, a jednocześnie udawać czyn, politykę.

A rezultat?.. Ten, że lista koncentracji tam, gdzie figurowały nazwiska pedeckie, najsromotniej przepadła. Nie przeszedł ani Łypacewicz, ani Rapaport, ani Zubowicz. Jeden tylko Życki uniknął „rzezi niewiniątek” pedeckich.

I koniec końców wrona pedeka, przystrojona w piórka pawia realistyczno-secesyjnego, nie zdobyła owych pawiów, lecz jedynie zerwała z obozem demokratycznym. Miał objąć pierwsze skrzypce w kapeli lewicowej, wołała zająć miejsce przy szarym końcu stołu, gdzie na miejscach honorowych widzieliśmy przedstawicieli finansjery—ks Lubomirskiego i Stefana Dziewulskiego obok przedstawiciela kleru—księdza Wesołowskiego.

### 3. Bohaterska asymilacja.

Asymilacja czyli t. zw. (czy słusznie?) żydzi-polacy mogą się pochwalić, że prześcignęli wszystkie stronnictwa, biorące udział w t. zw. koncentracji. Tamte otrzymały jeden policzek, asymilacja dwa: od koncen-



tracji oraz od nacjonalizmu żydowskiego.

Przyznać należy, że na oba uczciwie zasłużyła.

I przed nią leżało zadanie nader poważne. Obowiązkiem jej było zorganizować liczne rzesze żydowskie na gruncie polskim, skupić je pod sztandarem idejowym Polski.

O ile demokratyzm jej jest tak blady, jak ją o to podejrzewamy, powinna była zawczasu przyłączyć się do również bladodemokratycznej koncentracji, postawić jej swoje warunki, a przyrzec współdziałanie, nie dopuścić zawczasu do tego, by wymierzono jej tęgą policzek, eliminując najzupełniej żydów polaków.

Jeśli demokratyzm jej jest bardziej jasrawy, jeśli raził ich niedostateczny demokratyzm koncentracji, powinni byli—o ile czują się Polakami-demokratami—połączyć się z szczerym, radykalnym demokratyzmem polskim, znaleźć dość mocy moralnej, by nie oglądać się na tych, którzy zmonopolizowali *szylk polski*, i organizować kadry wyborcze, ożywione duchem *demokratyzmu polskiego* \*).

\*) Obecnie urzędówka asymilacji zapewnia, że agitowała „niestrudzenie“ w dzielnicach żydowskich zwalczając tendencje nacjonalistyczne. Si non e vero e *mal trovato!* Działanie polityczne, tembardziej w okresie wyborczym—musi być publiczne i jawne. Gdzie wiece wyborcze organizowane przez asymilatorów, a na których jasno wyłożono-by *credo* żydów-polaków! Czy publiczny wiec, podlegający kontroli publicznej można zastąpić jakimiś tajemniczymi rozmowami zakulisowymi? Lub niedającem się sprawdzić zapewnieniem *post factum*, że „dziesiątki“, współideowców gdzieś coś szeptały na Franciszkańskiej.

Asymilacja nie uczyniła ani jednego, ani drugiego. Czekala z założonemi rękoma na konkury i oświadczyzny koncentracji, daśala się na Kucharzewskiego za to, że nie chce oddać miast na łup najczarniejszej reakcji chasydzkiej, a wreszcie, gdy wymierzono jej policzek, oświadczyła, że nie może z świeżymi śladami na twarzy iść do mas i namawiać je, by poszły do koncentracji po... taki sam policzek. I do tego ograniczyła się... W chwili, gdy nacjonalizm żydowski organizował swe hufce, gdy radośnie głosił o porażce „Diksteinow i Natansonów“, gdy skupiał pod swoim sztandarem masy chasydzkie..

A przecież te same masy przed sześciu zaledwie laty gromadnie szły za rydwanem polskim i postępowym, a przez lat sześć chyba tak radykalnie nie zmienił się ich światopogląd.

Lecz wówczas pociągnięto ich urokiem humanitaryzmu Świętochowskiego i Krzywickiego, obietnicą walki o lepsze jutro *dla wszystkich uciskionych*, wprowadzono za tymi, których serce reaguje na *wszystkie bóle, wszystkie niedole*.

Dziś nie potrafiła uczynić tego ani koncentracja, ani postęp polski, ani asymilacja. I oto spożywają teraz gorzkie, zatrute owoce swej działalności lub bezczynności, oto muszą wychylić do dna gorzki kielich ponizenia, które tkwi w ich absolutnej zależności od nacjonalistów żydowskich.

I na pociechę powiedzieć im można tylko i jedynie:

„*Tu l'as voulu, Georges Dandin*“.

#### 4. Kucharzewski czy „ten trzeci“.

Lecz cokolwiek wywołało obecny rezultat, stoimy wobec faktu, wobec pewnej sytuacji, i z tej sytuacji wybrnąć należy.

Ułatwi to powściągliwe stanowisko nacjonalistów żydowskich, którzy tym razem (*une fois n'est pas coutume*) nie chcą wyzyskiwać swej przewagi, pragną pono rozwikłać sytuację w sposób uczciwy (?).

W sposób uczciwy, to znaczy przez oddanie mandatu w ręce tego, za kim wypowiedziała się większość wyborców—Polaków.

I korzystając z tego liczne koła—polskie i żydowskie - pragną fałszować wolę tych wyborców. Twierdzą, iż *cala* Warszawa polska wypowiedziała się za Kucharzewskim.

W liczbie tych, co to mówią znajdujemy demokratów dziwnego autoramentu, dla których olbrzymie rzesze Polski robotniczej są *quantité négligeable*.

Ponieważ nie należymy do demokratów tego pokroju, ośmielimy się stwierdzić co następuje:

Za p. Kucharzewskim wypowiedziało się siedm tysięcy wyborców, za p. Dmowskim sześć tysięcy z górą. Są to liczby dość nikłe w zestawieniu z liczbą wyborców—robotników, którzy obrali trzech przedstawicieli ze swej kurji.

To jest owa większość wyborców—Polaków, w ich więc ręce złożyć należy decyzję. Jeśli wystarcza im błady i nadomiar krępowany przez zasadę solidarności Koła demokratyzm p. Kucharzewskiego—on winien być posłem Warszawy.

Jeśli jednak ich—podobnie jak i nas—nie zadawalnia demokracja kandydata koncentracji, jeśli pragną lewicowca, obranego z ich łona—wyborcy żydzi obowiązani są wykonać ich wolę.

Niema bowiem żadnej zasady, która kazałaby demokracji liczyć się z ordynacją wyborczą, dającą dziesiątkom tysięcy ludzi trzech przedstawicieli, gdy dwadzieścia dwa tysiące ich posiadają przedstawicieli—aż osmdziesięciu. Przeciwnie, zasada demokracji każe liczyć się nie ze sformowaną sztucznie, lecz z istotną większością.

Jeśli więc lewicowy delegat robotniczy stoi na gruncie polskim—a to jest niewątpliwe—jeśli jest szczerym demokratą, żydzi-wyborcy obowiązani są powierzyć mandat jego ręką.

Nie będzie nic „monstrualnego“ w tem, że przedstawiciel proletariatu obrany będzie przez delegatów innych klas społecznych, nie będzie to „paradoksem“—jak twierdzi pewien publicysta z „Nowej Gazyty“—najwidoczniej mało obeznany z praktyką parlamentarną Zachodu, acz prawiący o niej z wielką pewnością siebie.

Bowiem w całej Europie niezmiennie powtarza się ten „paradoks“ i uważany jest za coś zgoła normalnego.

Bo też istotnie najzupełniej to normalne i logiczne, że opozycjoniści obierają przedstawiciela skrajnej opozycji, nie zadawalniając się pół-opozycjonistami, również normalnem jest, że uciskani i prześladowani głosują na tego, kto śmiertelny bój wypowiedział wszelkiemu uciskowi, że ci, którzy najwięcej cierpią wskutek nierówności

i braku humanitaryzmu, obierają tego, kto na sztandarze swym wypisał: wolność, równość i braterstwo.

Nie było paradoksem, gdy opozycyjne mieszczaństwo niemieckie obierało do parlamentu oraz sejmu pruskiego Beblów, Liebknechtów i Singerów, nie było paradoksem, gdy „intellectuel'e” francuscy z Sorbony przeprowadzali na posłów Viviani'ego, Fribourg'a, Lefèvre'a i innych socjalistów. Nie przestawał być demokratą polskim Daszyński, przez długi czas obierany w konserwatywnym Krakowie, również dzięki poparciu głosów żydowskich.

Nie będzie też paradoksem, gdy skrepowani łańcuchami prawodawstwa antysemitycznego, nękani zmorą antysemityzmu społecznego, żydzi obiorą skrajnego lewicowca, demokratę i wroga wszelkich zaciemniających świadomość narodową, szowinistyczno-klerykalnych wybryków.

Gdy nadomiar zrównoważą w ten sposób szale sprawiedliwości, przechylone w fałszywym kierunku przez ordynację wyborczą.

Zaciążą nie na tej, której wagę nadała owa ordynacja, lecz na tej, która dźwiga ciężar krwawego potu proletariusza polskiego.

LEO BELMONT.

## Chłodne refleksje o kwestjach palących.

### „Cała opinja“.

MOTTO. Za kandydatem naszym  
stoi cała Polska (Z prasy).

Mówił pan Dmowski, nim przepadł, że  
cała opinja jest za nim.

Że za nim jest cała opinja — ufa dotąd  
pan Kucharzewski.

Ztąd wniosek, że mamy w Warszawie aż  
dwie „całe opinje“.

Zajrzawszy do tablic Pythagorasa prze-  
konywamy się, że to jest niemożliwe.

Trzeba zatem całe zadanie przerobić.

Gadulstwu prasy przeciwstawić zwięzłą  
wymowę cyfr.

Warszawa liczy 800 tysięcy mieszkań-  
ców.

Warszawa liczy uprawnionych do głoso-  
wania 45 tysięcy szczęśliwych posiadaczy  
cenzusu.

Głosowało w Warszawie około 21 tysią-  
ca zabiegliwych obywateli.

Lista narodowo-demokratyczna po niezli-  
czonej ilości wieców, na których wszyscy  
solidarnie uwielbiali Dmowskiego, oklaski-  
wali każde jego słowo, tupali nogami z ucie-  
chy po każdym przecinku i powiewali chu-  
stkami po każdym punkcie,—zyskała 6 ty-  
sięcy z górą głosów, uświadomionych co  
do niebezpieczeństwa żydowskiego.

Na dwie listy sporne w okręgu X-tym

padło około 1700 głosów, nawzajem się rozbijających i przeświadczonych, że rozbijają jedność inni.

Panu Dmowskiemu z rozbitych głosów przypadło około 700.

Tylko tyle!

To znaczy: że p. Dmowski jako p. Dmowski, był w swoim partykularzu wyborczym ulubieńcem  $\frac{2}{5}$  „głosowników“, t. j. 40%.

Jako wódz narodowo-demokratycznych bataljonów jest on przedstawicielem tylko  $\frac{1}{7}$  uprawnionych do głosu, t. j. 13%.

Jest on obojętny—jak każdy inny—<sup>8,15</sup> nieszczęśliwie wciągniętych na listy abstenentów.

Woli go mieć w Warszawie, niż w Petersburgu 16 tysięcy życzliwych (wraz z Nalewkami), co stanowi  $\frac{3}{4}$  t. j. 75% ogółu „głosowników“.

Jeżeli wreszcie nie liczyć się z obowiązującymi przepisami, na których tak sparyli się obaj kandydaci, a które tak pobłogosławiły plemię wybrane, jeżeli stać na stanowisku ideału demokratycznego, o którym tak lubią mówić na ulicy Szpitalnej—to, niestety, p. Dmowski okaże się wybranym  $\frac{1}{130}$  t. j. 0,75% ludności warszawskiej, której wola—dzięki onym przepisom—musi być uważana za x.

I to się nazywa cała opinja!

Są wprowadzie za nim dwie gazety, ale na czele obu stoi sam p. Dmowski: jawnie lub anonimowo. „Zołzikiewicz przyznaje słuszność Zołzikiewiczowi“. Jest jeszcze za nim „Dzień“, organ zbieraczy rzadkości bibliograficznych.

To nie jest cała opinia - jak powiedział Pythagoras.

Dobrze rachujący<sup>\*</sup> czytelnik<sup>\*</sup> łatwo się przekona, że pan Kucharzewski, którego listy otrzymały nawet nie o cały a tysiąc więcej głosów, jest przedstawicielem  $\frac{1}{114}$  t. j. 0,80% ludności warszawskiej.

Jako wódz „mnóstwa“ skoncentrowanych partji, jest on tylko rzecznikiem—że tak powiemy—większej połowy głosów polskich. Przyczem, nie obwijając rzeczy w bawelnę, wyznajmy, że zyskał osobiście o przeszło tysiąc głosów więcej od Dmowskiego, tylko jako pupil partji, którą zwalczał, wystawiony z kwaśnym uśmiechem niebywalejszej politycznej szlachetności na liście swego niedoszłego pogromcy.

A wyjąwszy szydło z worka i mówiąc rzeczy, o których wróble nie śpiewają tylko na dachu „Nowej Gazety“, trzeba wyznać, że pogrom, który on i koncentracja sprawili N. D-cji, zawdzięczają tysiącowi pięciuset głosów żydów, którzy abstynowali od hasła żydowskiej abstynencji wyborczej.

Dziś zaś, jeżeli ma pono za sobą wszystkich narodowych demokratów, to smakuje im tylko tak, jak musztarda po obiedzie, którego nie dostali. I jest drogi, tylko jako piorunochron od gromów Mojżeszowych.

Jakkolwiek jest za nim „Kurjer Poranny“, który nie godzi się całkiem na jego polityczną solidarność z Kołem i zwalczał jego poglądy jeszcze przed narodzinami jego w kandydackiej kolebce; jakkolwiek jest za nim realistyczne „Słowo“, które jest całkiem przeciwne zapowiedzianej przezeń tak-



tyce — odmiennej od ugodowej taktyki Dmowskiego; jakkolwiek jest za nim „Kurjer Warszawski“, co do którego wiadomo, że wszystko jedno, za kim on jest, bo nie znosiwszy jeszcze trzewików, w których kroczył za tryumfalnym rydwanem Dmowskiego, wskoczył w kazirodce łoże koncentracji, bo dla „Kurjera“ wczorajszy Cyce ron jest dziś Katyliną, a dzisiejszy Katy lliną jutro będzie Cynceronem; jakkolwiek jest za nim „Goniec“, który na czas wyborczy od secesjonizmu o mało co nie rzuca się w objęcia sjonizmu, oplakując, że żydów tak źle traktowano ongi w prasie, i przez delikatność nie wymieniając imienia „Gońca“; jakkolwiek jest za nim demokratyczna „Nowa Gazeta“, jako za grzesznikiem przeciwko zasadom demokratyzmu, i błogosła wi go trójkątem Dawidowym z tyłu, pod czas gdy z przodu wystawia do *match'u* z nim białego murzyna Johnsona-Jerzego-Jankowskiego, który traktuje Kucharzewskiego, jako plantatora, handlującego ciałem mieszczan żydowskich; jakkolwiek ostatnio złożyła trzy grosze na jego kandydaturę „Gazeta 2 grosze“, a „Gazeta War szawska“ z lekceważącym gestem pomazała go na jedyne go kandydata, który... nie potrafi zastąpić Dmowskiego, ale winien to uczynić,—to jednak takiej opinii odrutowanej, jak popekany we wszystkich kierunkach garnek — za *całą* opinię uważać nie możemy.

Wobec tak <sup>\*</sup> <sup>\*</sup> <sup>\*</sup> prawdziwej, acz bolesnej wymowy cyfr, pozwalamy sobie mniemać, że czas jest uwolnić się z pod teroru „niebez-

pieczeństwa żydowskiego\*, czas, aby burżuazyjna myśl społeczna, sterroryzowana przez nacjonalizm żydowski, przejrzała i wejrzała w głąb' siebie, i poznała, że połowa czynnej armji wyborczej z podsztan-darów polskich wybierała Dmowskiego tylko jako Tytusa ku zburzeniu Jerozolimy w Warszawie, a połowa—niby większa, zaś w istocie mniejsza, rdzennych wojowników wybrała Kucharzewskiego tylko jako wodę święconą ku odzegnaniu djabła żydowskiego.

Czas jest, aby społeczna myśl polska sumiennie sprawdziła, czy istotnie jedynym kandydatem polskim po pogromie drugim „jedynego“ kandydata polskiego (Dmowskiego) jest p. Kucharzewski.

Zdaje się, że wolno jest myśleć nietylko pod hypnozą niebezpieczeństwa żydowskiego, że wolno w kolegjum wyborczem szukać i po za p. Kucharzewskim kandydata, posiadającego naturalny indygenat polskości i niemniejsze od przypadkowo przepa-dłego i przypadkowo ocalonego kandydata prawo reprezentowania Warszawy!

Wolno tembardziej, że obie strony: tak narodowa demokracja, jak i koncentracja, a z nimi wszyscy macherzy opinji polskiej, potrafili tylko jedno: oddać Warszawę nacjonalizmowi żydowskiemu, który widział nie dalej końca swego nosa, ale wobec „rasowych“ rozmiarów tego szlachetnego organu, o wiele dalej, niż „rdzenni“ zba-wiacze ojczyzny. I dziś trzyma nas w szachu!...

\* \* \*

### Ten, którego nikt sobie nie życzy.

MOTTO: Kandydatury lewicowca nikt sobie nie życzy, byłaby ona narzucona społeczeństwu polskiemu.  
(Z prasy).

Gdy na targowisku prasy był gwar tylko dokoła dwóch nazwisk, mogliśmy tylko o dwóch mówić, pomiędzy dwoma wybierać, odrzucać szarlatańską dyktaturę jednego, podnosić kulturalną godność ludzką drugiego kandydata

Polityka, która waży to, co ma pod ręką, nakazywała nam dawać kreskę Kucharzewskiemu, aczkolwiek w oczach naszych nie był on politykiem; podobnie, jak z pośród dwóch kucharzy przełożylibyśmy takiego, który wcale gotować nie umie, nad takiego, który wybornie gotuje... trujące grzyby. O trzecim, o którym nikt nie mówił, moglibyśmy tylko napomykać i wyglądać, azali się nie zjawi.

I oto naraz padło na szale wyborcze nazwisko jednego z robotników, którego imię szczytnie znanem jest zresztą ogółowi od lat pięciuset. (Imię— Jagiełło!)

To zmusza nas do zastanowienia się, czy ów jeden z kurji robotniczej miałby prawo przyjąć mandat.

Mogą tu nasunąć się dwa skrupuły.

Czy przedstawiciel robotników może kandydować z Warszawy wbrew wszystkim głosom z burżuazji polskiej?

Tak!

Skoro wszystkie głosy z burżuazji polskiej stale zapominają, że przedstawicielem narodu może być przedstawiciel klasy, wytwarzającej wszystkie materialne dobra,

które użytkujemy, niemniej ważkie dla życia od idealnych dóbr, wytwarzanych przez „Gońca“, „Poranny“ i nawet „Gazetę Warszawską“ — to i kandydat robotniczy ma prawo zapomnieć o niezadowoleniu swoich pracobiorców, szumnie zwanych pracodawcami, i jeżeli czuje się na siłach przedstawiać interesy całej pracującej Polski — to ma prawo wziąć mandat.

Gdy burżuazja nie ogląda się wcale na proletarjat i nie mówi za bezmownych z konieczności, a w mowach kandydackich udziela im tylko parę konfiturowych frazesów, to i proletarjatowi wolno nie oglądać się na burżuazję i chcieć porozmawiać raz z „panami“ w Dumie.

Drugi skrupuł jest ważniejszy.

Czy może robotnik polski przyjąć mandat z rąk nacjonalistów żydowskich?

Ten jeden powód, że jest im blizki dlatego, że w imię ogólnego ideału — równouprawnienia, przyobiegał je im także — dla nas nie wystarczyłby. Acz jedynie istotnym przedstawicielom interesów demokratycznych, określających powinności życia z punktu widzenia ideałów odległych przyznajemy prawo szafowania obietnicami, które modyfikuje poszukujące równowagi starcie się wszystkich sił społecznych. Jako wyraziciel interesu tylko żydowskiego, byłby dla nas robotnik polski, jako poseł, niemożliwy.

Wszelako, w zasadzie robotnik polski, jako nieprzyjaciel żydów, zamieszkałych w Polsce, przyjmujący od nich mandat, byłby koncepcją, która może się rodzić tylko w głowach niepoczytalnych. Poseł

polski od Warszawy, musi być przedstawicielem wszystkich mieszkańców Warszawy, z wyjątkiem chyba mniejszości rosyjskiej, której opiekuńczy rząd dał odrębnego przedstawiciela.

Ale prawdą jest, że gdyby kandydat-Polak obrany był samymi tylko głosami żydowskimi — wbrew wszystkim polskim, to jakkolwiek *à la guerre comme à la guerre*, byłoby to nadużycie prawa wojny, co do którego musiałyby głęboko zastanowić się w swoim sumieniu.

Lecz kandydat-robotnik, prócz swojego głosu, który liczą zawsze kandydaci, ma jeszcze dwa.\*)

Powiecie: trzy polskie głosy to mało!

Odrzućcie fikcję i spójrzcie prawdzie prosto w oczy.

Któż z was uważa za idealne prawo wybory dwustopniowe, któż widzi szczyt geniuszu prawodawczego w podziale Warszawy na cyrkuły żydowskie? Jakaż magja przywiązana jest do cyfry ośmdziesiąt trzy i co za kabalistyka pozwala wam twierdzić, że 34 jest więcej niż 46, a 3 nie jest więcej, niż 34?

Jeżeli macie słusność, że 34 głosy polskie jest więcej niż 46 głosów żydowskich, bo słusznie powiadacie, że za pierwszymi jest 13 tysięcy wyborców, a za drugimi tylko 9 tysięcy, to zechciejcie zważyć, że za owymi trzema robotniczymi głosami stoi w tej chwili z górą pół setki tysięcy wy-

---

\*) Rezultat wyborów: ND + Konc.—46, Nac. żyd.—34, Robotn.—3, razem 83 wyborców.

rażających opinię solidarną ludności robotniczej—także rdzennej!

Jest więc za ewentualnym kandydatem robotniczym liczba obywateli przerastająca ośm kroć razy liczbę wypowiadających się za Dmowskim, siedmkroć—liczbę wypowiadających się za Kucharzewskim, dwakroć liczbę prawyborców „ucenzusowanych“, którzy wolę swoją przy wyborach wyrazili.

Pamiętajcie, że tylko kaprys ordynacyi wyborczej, tylko przywilej Złotego Cielca, któremu tak urągacie, gdy wiedzie żydów do kolegium wyborczego—sprawił, że ludność robotnicza nie posiada czterykroć razy więcej przedstawicieli w kolegium wyborczem, niż burżuazja polska i żydowska w nieprzyjacielskiej spółce.

Czyż ośmielicie się twierdzić, że robotnik polski nie reprezentuje interesów polskich? Ależ, gdyby tak było, to kultura wasza nie posiadałaby korzeni, to burżuazja byłaby tylko kupką ideologów kultury bez przyszłości; byłaby łupiną, miotaną po rozhukanym żywiole międzynarodówki, byłaby koteryjką, tak jak żydowskość jest tylko bractwem kupieckim w rodzaju Hanzy średniowiecznej.

Nie, ten trzeci ma prawo do przyjęcia mandatu, jeżeli w sumieniu swoim osądzi, że ciężar jego dla dobra kraju udźwignie.

My chcieliśmy tylko mocno podkreślić w imię wolności myśli społecznej, którą schowano w powijaki kurjerkowe dla ochronienia przed obrzezaniem żydowskiem—że istnieje prawo głosowania na tego kandydata, którego.. nie narzucają brukowe świstki warszawskie, palące się, jak kadzidło wonne (?) na ołtarzach Mamona.

A to jest ta prawda, którą ukryła przed wami nawet „Prawda“.

Co się zaś tyczy prawa przyjęcia mandatu, pozostawiamy je sumieniu robotnika, który; jeżeli osądzi, że sił mu brak, ustąpić musi swe prawo czującemu się godnym, czyli t. zw. jednemu kandydatowi opinii publicznej polskiej Kucharzewskiemu...

A niechaj nikt nie śmie nam imponować jednomyślną opinią, gdy wiemy wszyscy, że bezmyślność burżuazyjna ma sto dozwolonych sposobów wyrażania się, a myśl robotnicza ma tylko prawo milczenia.

Pamiętajcie o tem, że „Trybuna“ zawahała się nie z własnej woli, że „Głos“ zamilkł wobec wymowy licznych sztrafów, że „Odrodzenie“ umarło pod progiem pałacu Krasińskich, że „Światło“ zagasło, i że tylko przypadek sprawia, iż „Wolne Słowo“, które mówi za niemogących mówić, ociekając krwią, po tylu łaskawych ciosach z góry i nie zagłodzone jeszcze zupełnie przez macoszą troskliwość społeczeństwa, może wejść na chwilę na opróżnioną trybunę, przeklinając los żywych musi odradzać się do ciężkiego żywota, ma prawo ująć w ręce pochodnię *światła*, które zdeptują wszyscy i brzmieć, jako *głos* wołającego na puszczy. (Ale co będzie jutro?)

**Co wolno czterdziestu sześciu żydom.**

Ale czy żydzi z kolegium wyborczego mogą wybrać robotnika? *That is the question.*

Przecie powiadają nasze gazety, że oni *muszą* wybrać Kucharzewskiego, jakkolwiek „Hajnt“ i „Frajnd“ twierdzą, że oni *nie potrzebują* go wybrać.

Przecie wśród żydów-nacjonalistów jest mnóstwo takich, co powiadają, że oni nie mogą wybrać ani Kucharzewskiego, ani robotnika, ale *potrzebują* wybrać Dawidsona.

Pogadajmy nieco językiem polityki.

Wyznajemy, że tonu, który jest tak miły niektórym naszym „Journals des Débats“, a który brzmi: „musisz, słodki żydzie, być porządnym i wybrać Kucharzewskiego, bo inaczej kuć będziemy w mor...“ — nie podzielamy.

Nie jest to ton, którym się mówi do zwycięzców na wyborach.

Ani do współobywateli, których nawołuje się do harmonii polskiej (z „Harmonii“ żydowskiej).

Wogóle nie jest to ton wskazany przez *savoir vivre*, przez politykę, czy etykę.

Pozwalamy sobie mniemać, że żydzi w kolegium wyborczem nic nie muszą i wszystko mogą.

Nie *muszą* słuchać niczyjego rozkazu, prócz swojego sumienia.

*Mogą* zrobić wszystko, do czego mają prawo w granicach istniejących przepisów o wyborach.

Są wolni jako obywatele.

A jako tacy, mogą zrobić nawet głupstwo, i nawet świństwo.

Z tego względu uważamy, że mylą się ci co twierdzą, iż żydzi muszą głosować za Kucharzewskim, chociaż im się jego białe rękawiczki nie podobają.

I równocześnie sądzimy, że mogą głosować za Kucharzewskim, choć związali się straszną hannibalową przysięgą, że za



„Markowem w białych rękawiczkach“ głosować nie będą.

Albowiem mogłaby przyjść na nich jasność wielka, która rzekłaby im, że równoprawnienie żydów nie jest rajskim ptakiem, zamkniętym w klatce w Petersburgu, a którego p. Kucharzewski jeden nie chce wypuścić, że, przeciwnie, w chwili gdy projekt rządowy powiada: 10% żydów w samorządzie, a p. Kucharzewski powiada: 49%, ale nie 51% — to uznawać go za antysemitę dlatego, że nie powiada: 100%, a siebie samych uważać za wielkich demokratów i przyjaciół Polaków — niema żadnej zasady.

Kupić nie kupić — potargować można, i żydzi, którzy mają interes na 10%, a krzyczą: albo nic, albo 100%, są ludźmi conajmniej nie znającymi się na interesach. Są anty-polakami bez rękawiczek, bardziej niż p. Kucharzewski jest antysemitą w białych rękawiczkach. \*)

---

\*) Musimy zaznaczyć, że określenie „Markowem w białych rękawiczkach“ w stosunku do p. Kuchcikiewicza jest tylko w połowie prawdziwe. Nie jest on wcale Markowem, jego pomysł rozszerzenia miast, aby przeszkodzić przeobrażeniu samorządu na gminę chasydzko-nacjonalistyczną z prawami rządzenia całą polską ludnością ocalałą w miastach, mógł się wydać antysemickim tylko opiekunom żydowskiego erewu. Ale to pewna, że jest on w istocie człowiekiem w białych rękawiczkach, bardzo pożądanym w dyskusji salonowej, ale nie wiele obiecującym, jako szermierz w parlamencie. Nie był on wcale antysemitą na serio, ale też przez cały czas nie był na serio przeciwnikiem narodowo-demokratycznego programu i wogóle jakimkolwiek *anty*. Jest to miły i zany człowiek, którego żal nam do utar-

Sądźmy więc, że mogliby go wybrać, ale ponieważ p. Kucharzewski nie potrafił sam tak jasno i przyjaźnie wytłumaczyć swoim niedoszłym sojusznikom własnej racji i potraktował pałacą i ważką kwestję żydowską zimno i lekceważąco — żydzi więc mogą go nie wybrać, w myśl zasady swoich korepetytorów z Petersburga: „*na silu nil nie budiesz*“ \*)

Mogliby wybrać Kucharzewskiego przez wdzięczność, że pogromił bez ich pomocy „Markowa w czarnych rękawiczkach“, oraz przez wyrachowanie praktyczne, aby rzeczowym argumentem zdruzgotać wszelkie ewentualne oświadczenia p. Kucharzewskiego w Dumie, że żydzi, otrzymawszy rów-

---

czek politycznych, jak szkoda byłoby woalek dla strażaków, idących na gaszenie ognia.

Byłby on w Dumie, jako owi wykwintnisie rzymscy Pompejusza, rozbijani na głowę przez żołdaków Cezara pod Pharsalem, gdyż ich wypiełgnowane twarze odwracały się od brutalnych pocisków nacierającego całą siłą wroga. Należy pamiętać, że Duma obecna będzie pozbawiona centrum, a dlatego będzie terenem starć dwóch skrajnie przeciwległych obozów, z których każdy wymagać będzie całego napięcia sił.

Gdyby jednak życzyć sobie należało, aby wśród tego rozkipsienia namiętności pojawili się medjatorzy, którzy rozwagą swoją hamowaliby rozpęd antagonizmów, uniemożliwiających pokojową pracę parlamentu, to p. Kucharzewski dowiódł, że mimo wysokiej kultury ducha, nie posiada talentów oratorskich i zręczności politycznej, koniecznych dla rozjemcy. Na naszym terenie bowiem łagodzącym pierwiastkiem być nie zdołał.

---

\*) Gwałtem nie będziesz miły!

nouprawnienie, Polaków w białych rękawczkach wybierać nie będą. \*)

\* \* \*

Jesteśmy też zdania, że żydzi mogą wybrać nawet żyda — nacjonalistę (innych żydów w kolegjum, dzięki wspólnej robocie koncentracji i asymilacji, niema).

Tylko niech nie mówią potem, że obchodzi ich jakikolwiek interes polski, że jest im cokolwiek na tej ziemi blizkie, prócz obłądnego tańca wokół źle zrozumianego interesu żydowskiego.

Niech nie mówią, że potrafią myśleć i czuć, że w sumieniu swoim liczą się z interesem tych mas, które podały z natury rzeczy głosy na jedyną wabiącą ich dźwiękiem nazwisk „swojskich“ listę, ani tych mas, które nie głosowały i nie miały prawa głosować, a które myślą tylko o „pokojowym współżyciu ze swoimi sąsiadami“ („Szulim“ — jak mówiły prywatnie i *Prywesne* deklaracje).

Niech im się nie zdaje, że posyłając po-

---

\*) Rzecz dziwna, że wśród tego potoku frazezów, jakiemi szumi prasa polsko-żargonowa Warszawy, od „Gazety za 2 grosze“ aż do „Momentu“ i od „Hajnta“ do „Nowej Gazety“, nie wypłynęła na wierzech trzeźwa uwaga: że żydzi — zwolennicy swojej kuryi narodowej przynajmniej gotowi byli dać Polakom 10% miejsc w samorządzie w ich kuryi narodowej, ale odkąd „Hajnt“ i „Frajnd“ zgodzili się na platformę „Nowej Gazety“, to już wszelkie prawa Polaków zostały zdane na łaskę większości żydowskiej i w imię „deklaracji praw“ żydzi-narodowcy mogą zająć całe 100% miejsc w samorządzie, jeżeli zechcą. Zwłaszcza, że posłuszeństwo chasydzkie asymilacji widzieliśmy za obecnych wyborów!

sła żyda z prastarej stolicy Polski, dowiodą tam w Dumie przed obliczem Rosji, że są przedstawicielami plemienia pokojowego, niezaborczego, dbałego tylko o swoje i szanującego historyczne prawa autochtonów, że nie myślą o majoryzacji sztucznej pozabwionych głosu rzesz chrześcijańskich, że nie są wyzyskiwaczami, że godni są otwarcia strefy osiadłości, którą im podejrzliwość rosyjska zamknęła.

Niech nie mówią, że w sumieniu swoim zważyli wszystkie skutki, które ich postawa może wywołać w życiu społecznym dla ich współwyznawców, niech nie mówią, że nie rzucili dla dźwięku słowa „równouprawnienie“, dla błędnego ognika praw politycznych, którego na bagnie reakcji nie złowią nigdy—to wszystko, co w życiu żydów we wszystkich krajach było nieodzownym warunkiem zgody społecznej, było podstawą do zdobycia praw politycznych i do możliwości istotnego z nich korzystania.

Otóż żydzi mogą głosować na żyda, stojącego w sprzeczności z interesami polskimi, ze społeczeństwem rdzennym, z tradycją polską, z przyszłością polską,—mogą hazardować się i narażać byt swoich współwyznawców dla majaków wolności politycznej, na którą zarobić nie chcą rozpowiciem się ze stokroć surowszych kajdan teokratycznej niewoli wewnętrznej—o ile nie chcą słuchać nakazów rozumu praktycznego i głosu etyki, z której jako spadkobiercy proroków są tak dumni, tej etyki, na którą nie wahają się powoływać w chwili, gdy gwałt im zadają.

Jezeli jednak głos rozumu nie zamarł

i nie ustało serce sprawiedliwości,—żydzi nie uczynią tego co mogą, nie narzucają Polakom przedstawiciela zoologicznego interesu żydowskiego, nie narzucają go spokojnym, nie łaknącym bynajmniej wojny cywilnej masom żydowskim, zatopionym w pociechach swojej surowej religii, zdobywającym z trudem chleb w najcięższych okolicznościach, i wiedzącym, że blask poselski pana Dawidsona nie nakarmi zgłodniałych i nie podniesie bezprawnych; nie narzucają go tym współwyznawcom, którzy, żyjąc na tej ziemi dłużej, odczuwają jej echa serdeczne żywiej i głębiej, i mają więcej praw do głosu, niż dalecy korepetytorzy nacjonalistów z Petersburga, którzy dają żydom wszystko... na papierze, tak samo jak dali Polakom autonomję.

\*

Dowiedliśmy, że żydzi \* nie muszą głosować na Kucharzewskiego, choć mogą. I dowiedliśmy, że nie powinni głosować na Dawidsona, choć mogą.

Zapytujemy teraz: czy mogą głosować na robotnika?

Ci, którzy wśród nacjonalistów, myślą, że nie mogą, nie zasłużyli—że tak powiemy—na zaufanie rządu, który wysłał ich do kolegium wyborczego i pozwolił im zasiąść przy stole wyborczym wraz z trzema robotnikami, który udzielił im zaszczytu obrad z Polakami, tak zazdrośnie odejmowanego im przez nieprzewidującą koncentrację, walczącą z takim samo myślącym Dmowskiego.

Obywatel, który otrzymał prawo głosowania, ma prawo powierzyć mandat w kolegium każdemu, kto go przyjmie.

Ale oto czemu żydzi-nacjonałiści, gdy odrzucają kandydata burżuazji, gdy abstrahować nie chcą, gdy nie powinni wybrać żyda, który reprezentował by w najlepszym razie 15,0271 % ludności krajowej, obcej tradycjom kraju i prawom jego języka, mają, prócz politycznego prawa, prawo etyczne do głosowania na kandydata lewicy: nie dlatego, że on im przyznał równouprawienie, bo o tem rozstrzygnięciu nietylko głos robotniczy, ale siła wszystkich warunków historycznych, przewaga sfer rządzących w konjunkturach politycznych, postawa ideowa wszystkich warstw narodu na tej ziemi i zdolność żydów do korzystania z praw, zależna od wyzbycia się przesądów.

Nie, nie będziemy zachwycali się altruizmem i demokratyzmem wyborców żydowskich, gdy dadzą głos na kandydata lewicy, gdyż ludność, która rzuciła się hurmem do list nacjonalistycznych, a przeszła obojętnie obok listy demokratycznej, rzucawszy jej ledwie paręset głosów — *en bloc* nie jest partją sympatyków lewicy; ci, którzy przy targach wyborczych patrzą kandydatom na ręce, nie pytając, czem będą oni, jako rzecznicy interesów polskich, i wypatrują z tych rąk tylko równouprawienia dla siebie — nie są wzorem obywatelskości.

Ale sądzimy, że gdy pokłócili się z całą burżuazją polską, jakoby w obronie hasła demokratycznego, a nie chcą być tylko burżuazją żydowską, obrabiającą własne interesiki — wbrew wszystkim interesom kraju; jeżeli nie chcą być tylko spadkobiercami Ezdrasza, budującymi świątynię żargó-

nową w Polsce i wyklinającymi, jak tamten, wszelkie związki z obcymi i, jeżeli pragną dowieść, że w tej drobnej mierze, w jakiej im Jehowa użytych zdolności politycznej, zrozumieć mogą hasło demokratyzmu— to w tej trudnej pozycji, gdy nie mają wśród siebie ani jednego żyda, stojącego na polskim stanowisku, a zarzucają kandydatowi burżuazyjnych partji polskich brak filosemityzmu, powinnyby złożyć mandat w ręce przedstawiciela prawdziwej demokracji w Polsce, w ręce tego, który w swoim ideale łączy równouprawnienie wszystkich obywateli kraju, w ręce tego, który jest w tej chwili naturalnym medjatorem między dwoma egoizmami narodowymi, który niewątpliwie jest Polakiem i niewątpliwie nie jest antysemitą.

Będzie to jedyne stanowisko, które zadawalnia cnotę godności osobistej, nie będąc jednocześnie grzechem egoizmem rasowego.

W obecnym zawiłym paralełogramie sił, gdy namiętny instynkt rasowy zniechęca ich do pójscia po linii wyboru Kucharzewskiego, a uczciwy rozsądek plemienny powstrzyma od pójscia po linii wyboru Dawidsona—głosowanie na robotnika staje się przekątną rozumu i sumienia obywatelskiego.

Więc ci, co galki wezmą w ręce, mogą je złożyć spokojnemi lub drżącemi rękoma w tę urnę a resztę niech zostawią przyszłości.

*Post scriptum.* Właśnie ukończyłem powyższy artykuł, gdy w nocnej porze pojawił się „u mnie nieszczęsny rewiry i na wyżej postawione pytanie: „Ale co będzie jutro“—przyniósł mi wymowną odpowiedź na papierze oficjalnym.

LEO BELMONT.

## Warszawa w Udziałowej.<sup>\*)</sup>

(z filozoficznego punktu widzenia).

W poniedziałek wieczorem zabrał mnie znajomy w Aleje, a za powrotem zaprowadził do Udziałowej. Powracając z Alej wieczoru wtorkowego, za namową towarzysza spaceru, wstąpiłem do Udziałowej. We środę wieczór pojechałem w Aleje w towarzystwie kilku osób, które następnie uraczyły mnie zsiadłym mlekiem w Udziałowej. Rankiem we czwartek otrzymałem list, w którym wyznaczono mi schadzkę wieczorową „na wypadek rozminięcia się w Alejach — w Udziałowej“. W piątek wieczór znajomi wyciągnęli mnie z domu, zapakowali do tramwaju, zawieźli mnie w Aleje, zaprosili na zsiadłe mleko do Udziałowej. Sobota wieczór — tramwaj, Aleje, mleko, Udziałowa.

W niedzielę rano proponował mi ktoś spędzenie wieczoru razem.

— Gdzie?—zapytałem.

Mój znajomy zatarł ręce:

— Pojedziemy tramwajem do Alej, a potem — zamyslił się — potem zjemy sobie zsiadłe mleczko w Udziałowej.

W moich oczach musiało błysnąć coś złowrogiego. On tego nie zauważył.

— Co wy takiego widzicie w tej Udziałowej?—pytałem z udanym spokojem.

— Zmiłuj się... Tam zbiera się *cała War-*

---

\*) Przedruk z „Ogniwa“ r. 1904.



*szuwa...* Wszędzie gdzieindziej pusto... Tam zawsze pełno...

Na pożegnanie uściśnął mi dłoń, mówiąc z naciskiem:

— Liczę *na pe*, że spotkamy się w Udziałowej.

W owej chwili znienawidziłem go. Postanowiłem pójść z rewolwerem sześciostrzałowym w kieszeni i zastrzelić go pomiędzy jedną a drugą łyżką mleka. Byłby to tylko protest naturalny ze strony człowieka, który przez cały tydzień jeździł tramwajem w Aleje i wieczerał w Udziałowej. Ale dobre instynkty wzięły górę. Jakkolwiek rozum, wykształcony na literaturze, pouczał mnie, że życie jednego filistra nic nie znaczy, zwłaszcza gdy chodzi o piękno i siłę protestu—głupie sumienie zatryumfowało. W niedzielę, przed godziną umówioną spotkania w Udziałowej, uciekłem z Warszawy, aby nie uleźć pokusie zbrodni.

Wzburzenie przeszło. Teraz w ustroniu wiejskim mogę skupić się i ze spokojem filozofa rozważyć, skąd bierze się pociąg „całej Warszawy“ do Udziałowej.

Bezwarunkowo jest to kwestja. Oto w pewnym punkcie Warszawy skupia się w wieczory letnie mnóstwo osób, deptąc sobie po nogach w niemiłosiernie wazkich prześcianach, potracając się łokciami przy stolikach w niezmiernej ciasnocie, ba! przecząc niemal prawu fizycznemu o nieprzenikalności ciał: sam widziałem *dwie* osoby, siedzące na *jednym* miejscu.

Na pozór jest to miłość świeżego powietrza. Tak mówi niedostateczna indukcja,

biorąc pod uwagę tylko część mleczarni otwartą, z balustradą od ulicy. Przeczą temu jednak dwa fakty: względna pustka w wielu tego rodzaju zakładach na otwartym powietrzu w Alejach i natłok spocynych i ciężko dyszących ludzi w zamkniętej części Udziałowej.

Więc to raczej nienawiść do świeżego powietrza?! Ale czy nie będzie to sprzeczne z ewolucją biologiczną?

Czy należy przypuścić, że warszawiak znajduje się już w okresie dysolucji? Przyszycy do duszności w miejscach pracy, biurach, kantorach, magazynach i t. p., szuka w chwilach odpoczynku miejsc mocniej zatłoczonych, krępujących wszelką swobodę ruchu. Choruje na obawę przestrzeni. Cokolwiek świeższe powietrze wydaje mu się nazbyt rozrzedzonym. Nawet w Alejach czuje się, niby aeronauta, który wzbił się w zbyt górne strefy. Przeciętny warszawiak cofa się szybko od Alej ku Nowemu Światu. Rychło dobijać się będzie o miejsce w najdalszym od ulicy kącie Udziałowej. Dziś wprawdzie przekłada jeszcze miejsce od ulicy. Ale to stan przejściowy. Tymczasem funkcjonują płuca po dawnemu. Lecz funkcja ich słabnie i słabnąć będzie w miarę odzwyczajania się od powietrza. Nastąpi zanik płuc. W końcu XX wieku, po wysiedzeniu się kilku pokoleń w miejscach *à la* Udziałowa, warszawiak oddychać będzie już skrzelami. Następnie w wieku XXI wsteczny ruch biologiczny doprowadzi do zniknięcia skrzeli rybich. Burżuazja warszawsko-udziałowa przerodzi się w glisty...

Stałem przerażony wobec takiego wyniku naukowych zaciekań się w przyszłość. Po głębokim jednak namyśle doznałem ulgi. Uznawać dysolucję w życiu warszawiaka za fakt stanowczy nie było zasady. To tłoczenie się mnóstwa ludzi na wąziutkiej przestrzeni było przecie integracją materii, było koncentracją istoty cielesnej warszawian w najwyższym stopniu. Całkowanie było tak dokładne, że odstępy pomiędzy ludzkimi nogami i łokciami było zniesione. Ruch uległ także rozproszeniu. Ludzie, siedzący przy stolikach, nie mogli się ruszać. Kelnerzy, wołani kilkakrotnie, nie ruszali się z miejsca i nie było sposobu dowołać się ich. W przejściu do olbrzymiej spójności ujawniał się fakt ewolucji według formułki Spencera. Mogłem się tedy poniekąd uspokoić...

Ale zagadka nie była jeszcze rozstrzygnięta. Myśl, puszczona w ruch, trafiła na nowe niebezpieczeństwa. Jeżeli owo skupienie warszawskich spacerowiczów jest istotnie ewolucją, to wymagalnym było połączenie się integracji „materii warszawskiej“ z innymi jeszcze warunkami. Przedewszystkiem zwiększenie się różnorodności. Następnie wzrost określoności.

Tymczasem całe to towarzystwo zdawało się być ulepionym z jednej gliny według jednego fasonu i zachowywało się jednako: żadnej różnorodności! Następnie, niepodobna było określić, jaką ma ono przyjemność z tego siedzenia na miejscu w tłoku i hałasie przez kilka godzin z rzędu: żadnej określoności!

Formułka Spencerowska pękała. Stawało

się jasnym, czemu krytycyzm społeczny, bilansując zasługi Spencera, mocno poszczerbił jego opinię. Oddając mu hołdy, ówdzie zarazem dowiedziono wielkiemu encyklopedyście, że nie posiadał dość ścisłej wiedzy przyrodniczej, ówdzie dogrzebano się w wielkim agnostyku—pozytywiście wcale nie pozytywnego metafizyka, ówdzie wielkiego filozofa zdegradowano na „wielkiego pisarza filozoficznego w rodzaju Cyserona“.

Teraz miałem sposobność osobiście sprawdzić kruchość podstawowej formułki Spencera. Przypatrując się warszawskiemu towarzystwu w Udziałowej, z jednej strony widziałem niewątpliwy fakt ewolucji; z drugiej—niewątpliwą była dysolucja. Nie było zatym ani jednej ani drugiej w istocie procesu. Innemi słowy, cała teoria brała w łeb...

Trzeba było zarzucić punkt widzenia fizykalny i biologiczny. Występowała na jaw wielka prawda: konieczność zastosowania właściwej metodologii do specyficznego zjawiska. Tłoczenie się ludzi w Udziałowej było to zjawisko *par excellence* socjologiczne. Należało je zbadać, jako takie.

Spróbuję!

Człowiek jest zwierzęciem politycznym. To wiadomo już od czasów Arystotelesa. Ale warszawiak jest zwierzęciem politycznym w kwadracie. Sądzę, że na całym świecie niema drugiego zbiorowiska ludzi politycznych w tym stopniu, co w Warszawie. W swoim czasie warszawiak wiedział dobrze, co zamierza zrobić Napoleon I. Znacznie później czytał w sercu Napole-

ona III, jak w księdze otwartej. Potym potrafił przejrzeć naprzód plany Bismarcka. W Warszawie wiedziało się zawsze, co knuje chytry Albjon. Tu przewidywano dokładnie kierunek polityki francuskiej. Dzisiaj, w jednej tylko Warszawie wiadome są naprzód wszystkie plany Kurokiego. Właściwie przed wybuchem wojny japońskiej nie wiadano tu jeszcze, gdzie leży Korea, nie znano się zupełnie na ustroju pocisków torpedowych. Wszelako natychmiast po wybuchu wojny japońskiej, warszawiak przeczytał „Kurjer Warszawski“, przespał się, a kiedy nazajutrz wstał ze świeżą głową, znał doskonale Koreę i Mandzurję, umiał strategię, umiał ballistykę. Odtąd czyta tylko Kurjera, przesypia się i — kombinuje. Depesze podają, jaki „cug“ zrobił Kuroki na szachownicy wojennej; przeciętny warszawiak przewiduje bez błędu pięć cugów następnych. Kiedy się zna tak dobrze topografię Mandzurji i posiada się strategię *expedite*, nie jest to trudne.

Zdawało mi się przeto, że w Udziałowej zbiera się co wieczora wielka rada strategów i polityków warszawskich. Gdzie tam! W godzinie wieczornej, kiedy poranny numer „Kurjera“ i „Gońca“ już z głowy wywietrzył, a wieczorny jeszcze nie został przeczytany, rozprawy polityczne niemal zupełnie są nie na miejscu. Wszyscy wiedzą wszystko — to samo, co do kwestyj spornych zdołano się porozumieć w cukierniach w południe lub we wczesnych godzinach popołudniowych, taktyka Kurokiego, Nodzu, Oku, Ojamy i Togo nakreślona już została na dzień następny, sprawdzoną zo-

stała zgodność absolutna kroków dzisiejszych z wczorajszymi przewidywaniami Warszawy—o polityce więc ku wieczorowi niema potrzeby wiele rozprawać. Słowem... powodem stłoczenia się w Udziałowej nie jest to, że warszawiak jest zwierzęciem politycznym (zoon politikon), chociaż jest nim w kwadracie!...

Socjologiczna metoda zawodziła zatym. Zagadka Udziałowej pozostawała wciąż zagadką. Próbowałem jeszcze miernika socjalnego z innej strony. Wyobraziłem sobie, że towarzyski zmysł warszawian dokonuje pracy skupiającej żywioty indywidualne gwoli drobnej orkiestrze, wygrywającej rozmaite „kawałki“ w Udziałowej. Rzecz przedstawiałaby się tak: jest orkiestra—naokoło orkiestry powstaje skupienie pierwszego rzędu—następnie formują się rzędy pozostałe. Ale i to rozstrzygnięcie nie wytrzymało krytyki: po pierwsze, niepodobna było wyjaśnić, czemu skupienie nie ogranicza się na obrębie muzycznych dźwięków, lecz przekracza go, gdyż zapelnione są kąty najdalsze, do których ani jeden ton nie dochodzi; po wtóre, sprawa skupienia, jak wskazywało doświadczenie, odbywała się odwrotnie: pierwsi, co przybywali, szukali odrazu miejsc najdalszych, w których „nie słycać rzępolenia“, czyli, wbrew powyższej hipotezie socjologicznej, skupienie nie odbywało się naokoło i dla muzyki! Używając terminów energistyki prof. Ostwalda, rzecz wyrażała się tak: energia orkiestry w Udziałowej *nie* przeobrażała się w energję towarzyską Udziałowców.

Postanowiłem ująć problemat w oświetleniu etyki, oczywiście — w duchu neo-kantowskim. Wypadalo rozpatrzyć fakt tłoczenia się warszawiaków w Udziałowej co wieczora nie jako kategorię bytu (Sein), ale jako kategorię *wartości* (Wert). Obiektywny pogląd nie doprowadził do niczego. Potrzeba było przeniknąć psychologicznie w subiekt warszawiaka, siedzącego w Udziałowej. Ponieważ dąży tam niezłomnie, uważa to za swój *obowiązek*. Ponieważ siedzi tam w tłoku, owo tłoczenie się i siedzenie jest dlań *wartością*. Jaka to przyjemność? Niech będzie żadna! Błądziłem w moich rozumowaniach właśnie dla tego, że stawiał to pytanie. Uległem „przesądowi hedonistycznemu“. „Eudajmonizm, czytam w *Przełł. Filozoficznym*, należy do najmocniej zakorzenionych przesądów filozoficznych. Zdanie, że człowiek dąży do szczęścia, uchodzi za pewnik, również wyświełtłony, jak niezłomny. Zdanie to jest nawskroś błędne. Człowiek nigdy nie dąży do szczęścia, do rozkoszy, odczuwa jedynie jako rozkosz i szczęście urzeczywistnienie swoich dążeń“.

Pozbywając się przesądu hedonistycznego, teraz dopiero jestem w możności rozwiązać zagadkę Udziałowej.

Siedzenie w Udziałowej nie jest szczęściem, rozkoszą, przyjemnością. Niepodobna w nim domagać się żadnych sprężyn użytkarno-hedonistycznych. Siedzenie w tłoku bez powietrza nie wspomaga bynajmniej sprawy rozwoju biologicznego. Nie jest również momentem ewolucji socjalnej! Ale z punktu etyki w duchu neo-kantowskim kwestja jest jasną.

Warszawiak poprostu dąży do Udziałowej. A ponieważ tam dąży, więc skoro się tam znajdzie, urzeczywistnienie swego dążenia uważa za rozkosz. To jedno, że *tam jest*, uczuwa jako wartość.

W jaki sposób nie rozczarowuje się co do tej wartości? Nie może! Bo w Udziałowej spotyka drugiego człowieka, który dążył tam tak samo:—ma więc potwierdzenie, że dążyć było warto. Ale ów drugi? Po co on dążył? Ów drugi przekonywa się o wartości swego dążenia, spotykając w Udziałowej pierwszego. Lecz ci dwaj razem? Bytność trzeciego jest dla nich dowodem wartości ich dążeń! A ci trzej, w czym czerpią pewność, że dążenie do Udziałowej stanowi niejako obowiązek moralny warszawiaka, że pobyt tam jest wartością, jest ową „treścią szczęśliwości, zapelniającą każdą formę naszych dążeń“? Rzecz prosta: znajdują sprawdzian w czwartym, piątym, szóstym itd. warszawiaku.

A zatem, im więcej osób stłoczy się w Udziałowej, tym większą jest pewność doświadczanej rozkoszy? Naturalnie! Można by mniemać, że warszawiacy poprostu lubią „gapić się“ na siebie. Jest to pogląd ordynarny. Wcale im o to nie chodzi. Przyczyna „gapienia się“ (fe! co za słowo) jest metafizyczna. Oto subjekt warszawiaka pragnie przejrzeć się w innych subjektach. Sprawdza w ten sposób, czy inni odczuwają szczęście tak samo, jak on, i upewnia się, czy sam je odczuwa jak należy. Kontroluje swoją ocenę etyczną, poznając ją w odbiciu wśród masy. Im więcej odbić, tym pewność większa. Masowość oceny jest sprawdzianem etycznym.



Dopiero w tym świetle staje się zrozumiałym, czemu warszawiacy lubią chodzić tam, gdzie właściwie nic nie ma nadzwyczajnego, albo gdzieindziej, skoro tylko tam *wszyscy* chodzą. Albowiem im więcej jest osób w danym miejscu, tym większą jest pewność każdej pojedynczej osoby, że jej dążenie do danego miejsca było *etycznie* słuszne. Biednemu warszawiakowi jest nudno wieczorem. Co ma począć ze sobą? On nie szuka przyjemności. On zapełnia czas, kontrolując swoją ocenę etyczną. Idzie do Udziałowej i patrzy, czy inni podobni mu ludzie przychodzą tam także. Im więcej ich przychodzi, tym jest spokojniejszy, że trafił dobrze. Wprawdzie im większy tłok, tym jest duszniej, tym gwarniej, tym trudniej oddychać i rozmawiać. Ale co to znaczy wobec wzrostu pewności, że miejsce wybrało się dobrze, że *tu* właśnie przyjść należało, bo tu już jest tak wielu i wciąż więcej osób nadchodzi. Za cenę takiej bezinteresownej rozkoszy warto się dusić!

Jeżeli kiedyś do Udziałowej zwali się pół miliona osób i ludzie będą siedzieli sobie na głowach, pewność warszawiaka, że dobrze trafił, dosięgnie prawie stopnia absolutności—i rozkosz jego będzie bezgraniczna! Będzie on tam, gdzie są *wszyscy*...

## Paryż.

12 Lipca 1912 r. (Po powrocie z kinematografu „Sfinks“).

Widziałem Paryż dzisiaj—w kinematografie.  
Magiczną mocą światła biegł wyczarowany  
Z grającej ruchem cieniów białej płaskiej  
ściany,

By spotkać inny, co na koralowej rafie  
Podnosił się z pod wspomnień złamanej  
pieczęci

Jakoby z dna morskiego—z głębiny pamięci!

I oto—ten z cieniów duszy, ów z światła  
potoku,  
Zlały się w jeden Paryż—w zachwyconem  
oku...

Ach! w jeden żywy Paryż—gdzie żyją ka-  
mienię,

Jako zakrzepłe w liniach genjuszów idee,  
Gdzie dech przeszłości wielkiej z wież strze-  
listych wieje

I ramię pręży w przyszłość potężne marze-  
nie,

Gdzie ożeniona z myślą stwarza zęcnie  
cuda

Praca narodu, co ma skrzydła wielkoluda!...

I usłyszałem naraz wrzawę ulic złotą  
I serce wraz zabiło mi krwawą tęsknotą...

Jakgdyby tam gdzie tylko krótkie chwile  
le chodził  
Śród myślących posągów i murów, co marzą,  
I drzew, co są przeszłości z a d u m a n ą  
strażą—  
Mój duch, kipiący ogniem—kiedyś się na-  
rodził,  
Jakbym nie przyszedł na świat w smut-  
nem mieście innem,  
Lecz Paryż mojej duszy był miastem ro-  
dzinnem...

I jakbym już nie kochał rodzimej zgnilizny,  
Zatęskniłem boleśnie – do tamtej ojczyzny!.

Życ tam nie mogłem!... Dziwnie związała  
mnie męka  
Z innym brukiem, gdzie życie tyiu ludzi  
nęka.

Ażeby ich zagrzewał, wzmacniał i podnosił  
Abym im prawdę serca cierpiącego głosił...  
A czym uczuł, że słońce moje się już zniża  
Na zachód—iż już rwę się umrzeć—do Pa-  
ryża?!...

## Aforyzmy wybitnych ludzi.

Jest to wybór aforyzmów z bogatego zbioru P. K. Marjtjanowa. Przy wyborze nie wprowadzamy systematyki, której niema i w zbiorze, gdyż wymagałaby ona uciążliwej a zbytecznej pracy. Brak systemu wynagradzamy obfitością ciekawych wyrzeczeń, które—*jeżeli nie zawsze mają wagę czystego złota prawdy, to stanowią jednak wyborną charakterystykę ludzi historii, literatury, życia, lub znamiennych prądów myśli i uczucia.*

### III.

Rozum i duch partyjny są to wrogowie, których żaden sojusz nie pogodzi.

Fr. de Ponge.

Nadzieja na zwycięstwo pomaga zwyciężyć — ale pewność zwycięstwa prowadzi do porażki.

Tytus Liwiusz.

Gwałt nie pokona i rozumu. Do zbydłęcia narodu trzeba wiele czasu.

Diderot.

Mędrcy stają wyżej nieszczęścia, głupcy — niżej.

Napoleon I.

Nie żądajcie od największych ludzi, by uczynili więcej, niż może ludzkość.

Fenelon.

Siłami ludzkości są władza i wolność:  
władza, co ochrania, wolność, co zwycięża.

Dupanloup.

We Francyi jest 35 milionów ludzi, a  
nie masz społeczeństwa.

Hr. de Castelle.

We Francyi trzeba być albo młotem,  
albo kowadłem — jam urodził się, aby być  
młotem.

Wolter.

Wojna jest procesem, który rujnuje zwy-  
cięzców i zwyciężonych.

Boiste.

Kto nie kocha ojczyzny ślepo, szalenie—  
jest tylko w połowie człowiekiem.

Edmund About.

Wszędzie człowiek jest tyranem, zdrajcą  
albo niewolnikiem.

Puszkina.

Wolność nie na tem polega, aby wy-  
pełniać swoją wolę, ale aby nie podlegać  
cudzej.

Rousseau.

Co za nieszczęście, że Berlin leży w Bran-  
deburgii.

Baron Stein.

W Berlinie jest więcej bagnetów, niż  
książek.

Wolter.

Wolę knut rosyjski od niemieckiej wol-  
ności (!).

Gawliczew.

Niemcowi zawsze się udaje.

Gogol.

Nie należy słodko pochlebiać swemu narodowi; ale nie trzeba także śpiewać nad nim mszy żałobnej.

O. F. Miller.

Trzeba zbawiać ludzi od szaleńca, choćby człowiekiem, który wściekł się, był sam boski Homer.

W. Bielinskij.

W Rosyi posępnego nie odróżnisz od zaspanego.

Turgeniew.

Rosja jest niebezpiecznym sąsiadem.

Gustaw Adolf.

Taktyka — to zdrowy rozsądek w mundurze, ze szpadą w rękach.

Hr. Milutyn.

Powiadają, że dla kamerdynera niema bohatera. Ale wszyscy współcześni są kamerdynierami.

Feldmarszałek Paskiewicz.

Traktat Berliński jest najczarniejszą kartą mojej kariery służbowej.

Kanclerz Gorczakow.

I mojej także.

Aleksander II.

Poskrobcie naszą życzliwość — znajdziecie pod nią nienawiść.

Hr. Wałujew.

Piękniej i doskonalej dźwięczy dziesięć dzwonów, niż wszystkie złane w jeden, choćby ogromny.

Palacki.

Biblia jest księgą całej ludzkości, ponieważ daje historję rozwoju idei religijnej.

Renan.

Żydzi są elementem, który rozkłada inne narodowości.

Mommsen.

Żydom należy zabrać nie tylko skórę, ale i złoto.

Ludwik Vellot.

Ludzi określają rysy moralne—nie krew, nie rasa.

Kawelin.

Mam tylko dwóch kontrolerów—Jehowę i moje sumienie.

S. S. Polakow.

Niewiara jest cienkim pokrowcem z lodu, po którym może przejść jeden człowiek, ale cały naród upadnie w przepaść.

Stöcker. (!)

Prawowierni bijcie niewiernych wszędzie, gdzie ich znajdziecie.

Mahomet.

Niechaj ludzie nie liczą na miłosierdzie Boże. Byłoby ono nie bardziej rozumne od ludzi, gdyby zastąpiło sprawiedliwość przebaczeniem.

Eurypides.

Miłosierdzie przystoi królom bardziej, niż korona.

Szekspir.

Aby być szczęśliwym, trzeba mieć dobry żołądek, złe serce i nie mieć sumienia.

Diderot.

Żyłem w biedzie, umrę bogatym; ale chętniej żyłbym, jako bogacz, a umierał w nędzy.

Lord Beackonsfield.

Królowie nie bywają chorymi.

Ludwik XIV.

Kardynałowie są solą ziemi.

Papież Sykstus V.

Człowiek rozpoczyna się od barona.

Ks. Windischgratz.

Posłuszeństwo winno sięgać aż do grzechu śmiertelnego.

Lojola.

W dniu, kiedy dyplomaci poczną mówić prawdę -- oszukają wszystkich.

Talleyrand.

Gdyby moja prawica zaraziła się herezją, sam bym ją odrąbał.

Franciszek I.

Jeżeli w księgach filozoficznych znajdziecie jeden przykład połączenia dnia z nocą — wskażcie mi go, a ja pogodzę się z królem włoskim.

Pius IX.

W Polsce tylko kobiety posiadają rozum i silną wolę.

Napoleon I.

Nie kłóćcie się ze stróżami, bowiem władzę należy poważać.

Satyryk Szczedryn.





**Wydawnictwa „Wolnego Słowa“ otrzymać można  
w Administracji (Marszałkowska 97-a).**

---

Rozwiązanie tajemnicy sprawy Ronikiera (kop. 45).

„Oddajcie nam Barabasza!“ — list do Adwokatury Warszawskiej w sprawie wolności słowa (kop. 30).

„Zbrodnia Jasnogórska w nowem oświeceniu“ (z dodatkiem kop. 25) i t. d.

#### **POWIEŚCI.**

„Sprawa przy drzwiach zamkniętych“ Rb. 1. 50.

„Pomiędzy sądem i sumieniem“ Rb. 1 25.

„Socjalizm i sprawiedliwość“ Rb. 1.50.

„Genialny wróg kobiety“ Rb. 1—i inne.

„O ekspertyzie psychologicznej“—Rb. 1.

---

## Za bezcen.

Każda redakcja po pewnym czasie sprzedaje swoje remanenty na torebki.

„Wolne Słowo zbyt ufne w to, że za-  
możni ludzie nie będą stale korzystali  
z pożyczanych egzemplarzy — biło zwykle  
nakład zbyt wielki, narażając się na straty.

Ponieważ szkoda nam było niszczyć do-  
pełnioną pracę i *wierzymy w to, że przy-  
szłość oceni pismo, w którym są prawdy,  
przemilczane przez naszą prasę* — nie  
sprzedawaliśmy dotąd remanentów naszych  
na torebki do pieprzu.

Ale czas nagli... Torebki są bardzo po-  
trzebne...

Zechcą tedy przyjaciele nasi zwrócić  
uwagę swoich znajomych, że *przez czas  
krótki* mogą otrzymywać ubiegłe roczniki  
„Wolnego Słowa“ **za bezcen**, (niżej kosz-  
tów druku i papieru).

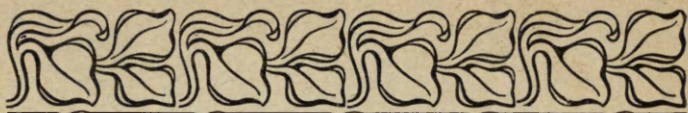
Wiem z pewnością, że przyjdzie czas,  
gdy będą przepłacali „Wolne Słowo“ jako  
rzadkość bibliograficzną.

Każdy pisarz, który całą duszą służył  
społeczeństwu—ma dumne prawo wróżyć  
taki los swojej ofiarnej pracy — sokowi  
nerwów swoich i krwi swego serca, temu,  
co go przeżyje!

30 Października 1912 r.

Osoby, które oceniły, że „Wolne Słowo“ stara się podnieść po nad aktualność, nawet kiedy pisze o rzeczach aktualnych; że pragnie pozostać żywym świadectwem biegnącego potoku zjawisk w jego blaskach i cieniach; że mówiąc sercem z teraźniejszością, myślą mówi do przyszłości; że tedy stanowi żywą całość, rozwijającą się wciąż od 1-go numeru — może dowiedzą się z przyjemnością,

że mogą otrzymać w Administracji ubiegłe do 1911 roku 3 roczniki „Wolnego Słowa“ po Rb. 1 za każdy (czasowa zniżka ceny) o ile zgłoszą się przed wyczerpaniem takowych. Cena zbioru za r. 1911—Rb. 2. Przesyłka kop. 50. Piąty rocznik Rb. 3.



## Niektóre prace Leo Belmonta we wszystkich księgarniach.

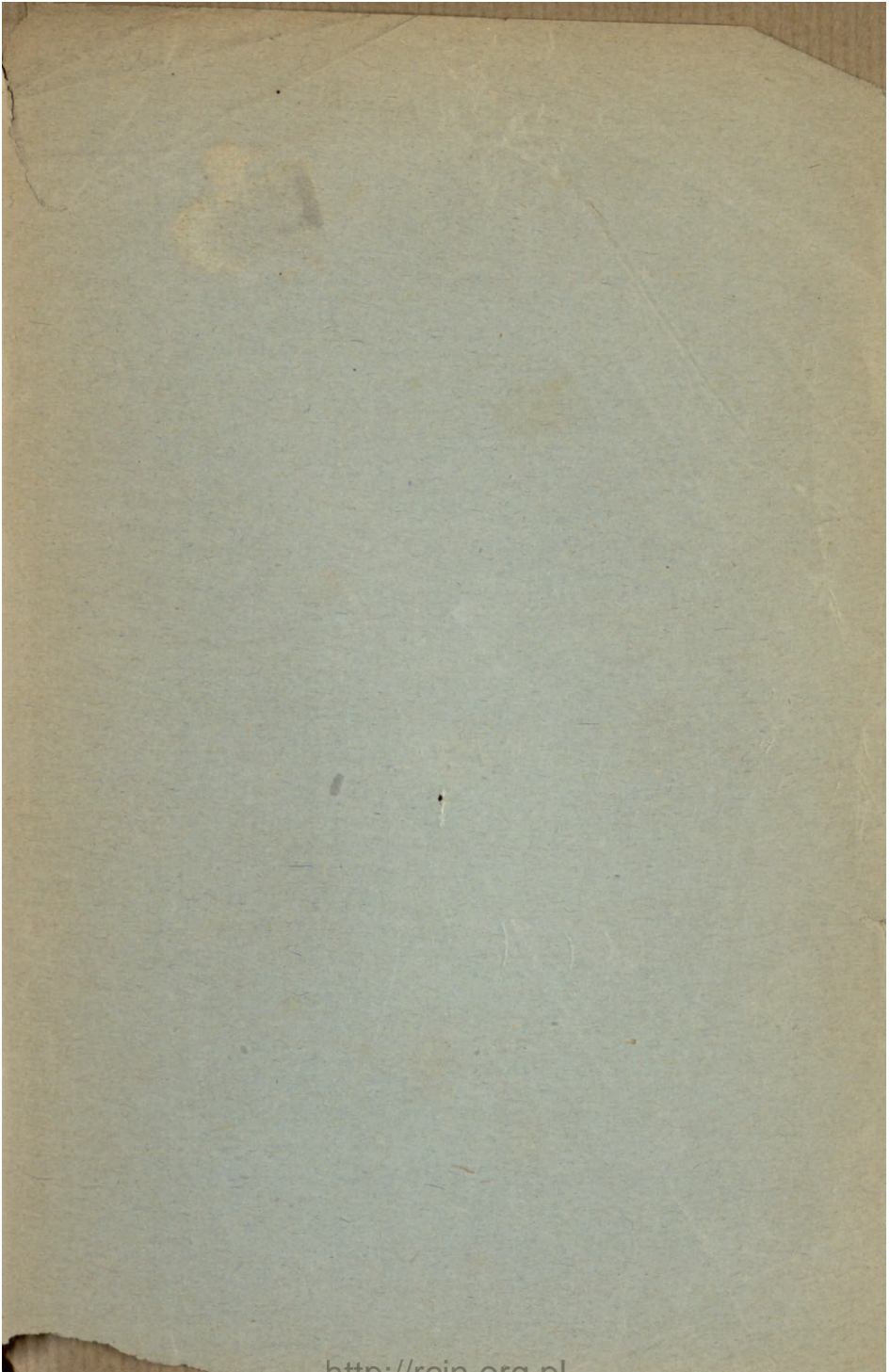
**W wieku nerwowym**—Powieść w Adm. W. Sł. kop. 80. **Rymy i Rytmy**—3 tomy w Adm. W. Sł. rb. 2. **Lew Tołstoj**—życie i dzieła. **Tamten człowiek**.—**Dla honoru**, dramat, rb. 1.—**Zarys nauki handlu**, kop. 60. **Nowele i satyry**, kop. 80.—**Polska nad przepaścią**, scena, k. 60.—**Różne pisma** k. 25. — **Najłatwiejsza metoda języka Esperanto** (wierszem) k. 15.—**Sonój esperantaj** kop. 60.—**Judas z Iskarjothu i inni** Andrejewa, kop. 60.—**Romantyczni** Rostanda. — **Eugeniusz Oniegin** Puszkina rb. 1.20. **Filozofia pieniądza** Simmla. — **Jama Kupryna**. Trzy odczyty: Tłum. Burzycielstwo i twórczość rewolucyi. Walczące idee, rb. 1. — **Socjalizm i sprawiedliwość** rb. 1.50. — Dwa odczyty: O upadłej kobiecie i Małżeństwo i prostytutcja, kop. 60. — **Czego nie wiecie o waszych mężach**, kop. 30. — **Jak zrobić pieniądze** kop. 30. **Genialny wróg kobiety**—Weinger Rb. 1.

---

---

W „Wolnem Słowie“ prócz wielu artykułów treści politycznej, społecznej, naukowej, literackiej nowel, humoresek, satyr i poezyj—jest mnóstwo większych prac L. Belmonta, które w książkowym wydaniu nie wyszły, np. „Kobieta, jako bojowniczką i ofiara rewolucyi“, „Żydzi w płomieniach pieśni“ „Zarathustra-Nietzsche“, przekłady z „Peer Gynta“ Ibsena. Ostatnie pieśni Heinego“. „Kwestja żydowska“. W sieci tragicznych błędów politycznych“. „Krwia sklejeni bracia-Słowianie“. „Chrystus i Judasz“. „Fatum w Kłatwie Wyspiańskiego“. „Juljusz Słowacki“, „Marja Konopnicka“. „Proces ogółu polskiego z poezją“. „Więzienie Ratuszowe“. „Wrażenia z Cytadeli“. „Więzienie przy ulicy Spokojnej“. „Wspomnienia gimnazjalne“. List do ministra w sprawie Mozyrskiej“ i t. d.

INSTITUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63







F

21.792